

Rok XXVIII

Nr e-91 (287)

Maj 2014

# NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



**Z NASZEGO REGIONU**

Śladami św. Jadwigi (4) .....	<i>Jerzy Maciejewski</i> .....	3
Kat – niegodne rzemiosło? .....	<i>Zbigniew Piepiora i Robert Andrzejewski</i> .....	6
Co jest na Czarnej Kopie w Karkonoszach? .....	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i> .....	7
Bożkowski Pałac .....	<i>Maria Szwedziuk</i> .....	9
Krzywa Wieża w Ząbkowicach Śląskich .....	<i>LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”</i> .....	10

**OJCZYSTE SZLAKI**

Skrzyczne .....	<i>Juliusz Wysouch</i> .....	12
Dar szczególny i wspaniały (5) .....	<i>Kazimierz Denek</i> .....	14
Nowy pomorski szlak kulturowo-turystyczny .....	<i>Jerzy Cisewski</i> .....	16
O retroreklamie w niegdysiejszym Ciechocinku .....	<i>Bogumił R. Korzeniewski</i> .....	18
Powitanie słońca w Budnikach .....	<i>Krzysztof Tęcza</i> .....	20

**TRASA MIESIĄCA**

Południowo-wschodni kraniec Pogorza Kaczawskiego ....	<i>Bartosz Skowroński</i> .....	21
---	---------------------------------	----

**GLOBTROTER**

Kraj nad Nilem – podróż życia (2) .....	<i>Patrycja Wieleba</i> .....	23
Miasto nad Newą .....	<i>Elżbieta Lisiecka</i> .....	26
Semien – dach Afryki .....	<i>Krzysztof R. Mazurski</i> .....	27

**Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW**

Skromnie, ale bogato .....	<i>Juliusz Wysouch</i> .....	30
----------------------------	------------------------------	----

**PORADNIK TURYSTY**

Samotnie w góry .....	<i>Juliusz Wysouch</i> .....	32
-----------------------	------------------------------	----

**NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU**

Oblicza Buddy .....	<i>Sobiesław Mazurski</i> .....	34
---------------------	---------------------------------	----

**SYLWETKI „NA SZLAKU”**

Pani Maria – matka Wandy Rutkiewicz .....	<i>Stanisław Dziuba</i> .....	35
---	-------------------------------	----

**U KRESU WĘDRÓWKI**

Ks. Krakowczyk odszedł ponad szczyty .....	<i>J.W.</i> .....	37
--	-------------------	----

**RECENZJE, NOWOŚCI**

O Bieszczadach całkiem inaczej .....	<i>Tomasz Kowalik</i> .....	38
Szlak Frontu Wschodniego I Wojny Światowej w Małopolsce .....	<i>Amistad</i> .....	39
Para buch... ..	<i>Muza SA</i> .....	40

**LISTY, OPINIE, DYSKUSJE**

Głosa do Lubania .....	<i>Tomasz Kowalik</i> .....	41
„Tatry w płatkach śniegu” i „Kocioł Czarnego Stawu Gąsienicowego” .....	<i>Joanna Pociask-Karteczka</i> .....	42

**Na okładce: Na szczycie Sokolika w Rudawach Janowickich. Fot. Piotr Dacko**

## Śladami św. Jadwigi (4)

### WĄDROŻE WIELKIE

Wieś położona jest niedaleko Jawora. Znajduje się tu kamień, na którym, jak głosi legenda, księżna Jadwiga odcisnęła kształt swoich stóp. Miało to się odbyć po tym, jak pochowawszy swojego syna Henryka Pobożnego, poległego w bitwie z Mongołami pod Legnickim Polem, udawała się w drogę powrotną do trzebnickiego klasztoru. Kamień ten faktycznie jest wychodnią kwarcu o bardzo ciekawej strukturze.

### LEGENDA O KAMIENIU ŚW. JADWIGI W WĄDROŻU WIELKIM

W 1241 r. nastąpił najazd Mongołów. Po podboju Rosji ciągnęli oni dalej z zamiarem ujarznienia całej Europy. Ich pochód poprzedzały wieści budzące przerażenie i zgrozę. Azjatyckiemu najeźdźcy stawiał czoło w bitwie pod Legnicą książę Henryk. Pomimo dużej liczby napastnika wojska jego walczyły dzielnie, ulegając jednak w końcu zupełnemu rozbiciu. Henryk II, trafiony dzidą, poniósł śmierć. Mongołowie, zatknawszy jego głowę na włóczni, obnosili ją tryumfalnie przed murami legnickiego zamku. Pochowawszy syna Jadwiga wraz z synową Anną udała się w drogę powrotną do trzebnickiego klasztoru. Pograżone w smutku ze skromną świtą wędrowały szlakiem wiodącym przez tereny należące do Wądroża Wielkiego. Strudzone podróżą, zwłaszcza Jadwiga, która swoim zwyczajem wędrowała boso raniąc mocno stopy na wyłożonej kamieniami drodze, przystanąły na krótki spoczynek przy trakcie między Wądrożem Wielkim a Mierczycami u podnóża niewielkiego wzniesienia. Na jego szczycie leżał spory głaz. Przed wyruszeniem w dalszą drogę Jadwiga wspięła się nań, chciała bowiem jeszcze raz spojrzeć w kierunku miejsca krwawej bitwy. Ze wzniesionymi ku niebu rękoma wypowiedziała słowa modlitwy: „Dziękuję Ci o Panie, że dałeś mi takiego syna, który zawsze okazywał mi miłość i szacunek i który mnie nigdy niczym nie zasmucił. I chociaż bardzo gorąco chciałabym go mieć przy sobie na Ziemi, to jednak cieszę się całym sercem, że przez przelaną krew jest on już w niebie zjednoczony z Tobą, swoim stwórcą: jego duszę polecam najgoręcej Tobie mojemu Bogu i Panu”. I Bóg ją wysłuchał. Nawet kamień zmiażdżył pod jej cierpieniem odciskając obolałe stopy, czego świadkami byli okoliczni mieszkańcy szczerze jej współczujący, którzy przybyli tu, aby pożegnać się z nią. Wądrożanie z czasem otoczyli kamień wielką czcią. Przez setki lat leżał więc w spokoju w tym miejscu i nikt nie odważył się ruszać go. Około 2 poł. XIX w. właściciel pola, na którym leżał kamień, od dłuższego czasu nosił się z zamiarem usunięcia go. Mieszkańcy Wądroża i okolic sprzeciwiali się temu zamiarowi, bojąc się kary Bożej za naruszenie świętości. Któregoś jednak dnia gospodarz w tajemnicy przed sąsiadami zebrał zaufanych parobków i umówił się z nimi, że następnego dnia rozbiją spory głaz na drobne kawałki i usuną. Nazajutrz o wschodzie słońca stawili się ludzie z kilofami i młotami w umówionym miejscu. Czekali na gospodarza, lecz ten nie zjawił się. Zniecierpliwieni oczekiwaniem sami postanowili rozpocząć powierzone im zadanie. W chwili, gdy zamierzali się na kamień, usłyszeli przeraźliwy głos, to krzyczał biegnący w ich kierunku sąsiad ich gospodarza: „Nie ważcie się ruszać ten święty kamień. Gospodarz wasz nie żyje – dopadła go zemsta niebios”. Strwożeni ludzie padli na kolana i z pokorą oddali cześć świętemu kamieniowi.



**Kamień św. Jadwigi w Wądrożu Wielkim**

W ten oto sposób „Kamień św. Jadwigi” w Wądrożu Wielkim pozostał nienaruszony i leży tam do dziś. Uznaną za pomnik przyrody przykuwa uwagę odwiedzających go dzieci szkolnych oraz przygodnych turystów.

## WROCLAW

Pamiętkami w śląskiej stolicy, związanymi ze św. Jadwigą, są:

*Kościół p.w. św. Macieja*, który był kościołem dworskim św. Jadwigi. W miejscu budynku kanonii według historyków sztuki stała kuria Świętej.

W *klasztorze urszulanek* spoczęły szczątki synowej św. Jadwigi – księżnej Anny, żony Henryka II Pobożnego.

*Kościół św. Wincentego* jest mauzoleum syna św. Jadwigi, bohatera spod Legnicy, Henryka II Pobożnego, który spoczął w murach tej świątyni po bohaterskiej śmierci na polach legnickich.

*Romański dom Panien Trzebnickich* z XIII w., które zgodnie z wolą św. Jadwigi miały się opiekować się zmarłymi Piastami, dobrodziejami zakonu. Widoczne jest tu, jak podnosił się poziom gruntu przez stulecia we Wrocławiu.

Wzdłuż ul. Grodzkiej, biegnącej wzdłuż Odry, zachowały się fragmenty murów obronnych z XIII w., mających strzec siedziby książęcej. Przy ul. św. Marcina do dziś zachowały się *relikty zamku książęcego*, na parterze sąsiedniego budynku klasztornego wyeksponowane są ściany z cegły o układzie wendyjskim.

W centrum założenia zamkowego zachował się *romański kościółek p.w. św. Marcina* z XIII w.

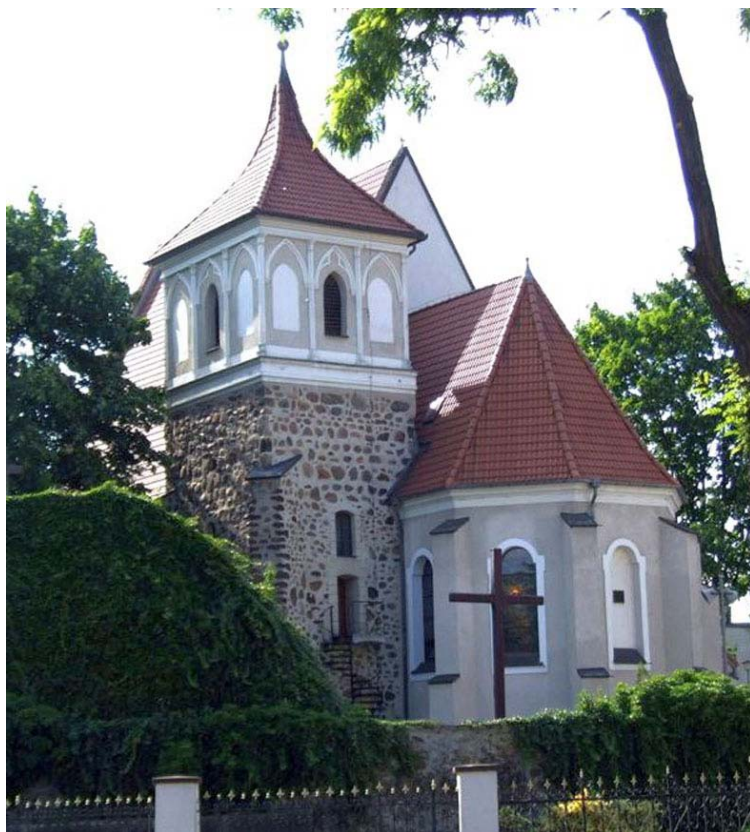
*Katedra* p.w. św. Jana Chrzciciela stoi na miejscu świątyni z X w. – do naszych czasów zachowały się jedynie relikty romańskiej katedry, wmurowane przy wejściu, przedstawiające kamienne lwy i wmurowana w północną ścianę katedry rzeźba św. Jana Chrzciciela (kopia – oryginał znajduje się w pobliskim Muzeum Archidiecezjalnym).

## WROCLAW-LEŚNICA

Dnia 7.12.1201 r. w tutejszym grodzie zmarł Bolesław I Wysoki. Była to jedna z siedzib Henryka I Brodatego. Leśnica stanowiła bowiem doskonale miejsce odpoczynku księcia Henryka I Brodatego i jego żony w drodze z Legnicy do Wrocławia. Tu w 1324 r. ostatni Piast wrocławski Henryk VI podejmował swojego spadkobiercę Jana Luksemburczyka, króla Czech. W 1420 r. wzniesiono ceglany zamek, złożony z dwóch budynków mieszkalnych, dziedzińca pośrodku i wieży od frontu. Była to warownia otoczona fosą z przerzuconym nad nią mostem zwodzonym. W latach 1520-1550 została przebudowana na renesansowy pałac, który w 1621 r. otoczono niskim murem z bastejami. Kolejna barokowa przebudowa nastąpiła w latach 1735-1740 według projektu Krzysztofa Hacknera. W 1945 r. zamek spłonął. W trakcie odbudowy



**Kościół św. Macieja**



**Kościół p.w. św. Jadwigi we Wrocławiu-Leśnicy**

w latach 1966-68 natrafiono na gotyckie mury i stropy średniowiecznego zamku. W kierunku północno-zachodnim stoi kościół p.w. św. Jadwigi, usytuowany w najwyższym punkcie Leśnicy, wzmiankowany w 1248 r., a obecny wzniesiony w 2 poł. XV w. Najstarszą część dzisiejszej budowli stanowi korpus pochodzący z XV w. Wyposażenie wnętrza świątyni jest barokowe.

## ZŁOTORYJA

Należy ona do najstarszych miast w Polsce i prawie od zawsze była związana z wydobywaniem złota. Prawa miejskie otrzymała od Henryka I Brodatego z początkiem XIII w. Kilkuset górników ze Złotoryi wzięło udział w 1241 r. w bitwie z Mongołami pod Legnicą, większość z nich zginęła w walce. *Kościół NMP*, najokazalszy i jeden z najcenniejszych zabytków, to gotycka budowla trójnawowa, wzniesiona na planie krzyża, orientowana. Posiada ona trzy interesujące portale: romański, wczesnogotycki i gotycki. Wieża wschodnia ma 63 m wysokości, została wzniesiona w 1482 r. Na przełomie XV i XVI w. założono w jej wnętrzu bibliotekę łańcuchową, obecnie znajduje się tam rekonstrukcja pulpitu biblioteki łańcuchowej. Wieża jest dobrym punktem widokowym.

*Ścieżka Św. Jadwigi* prowadzi od kościoła św. Jadwigi dawnego klasztoru franciszkańskiego do Rokitnicy. Pomyślną i głównym twórcą jej jest Alfred Michler. Trasa ma 6 km długości, jest możliwa do pokonania pieszo lub rowerem. Od 2003 r. wyznaczają ją znaki w kolorach zielonym i żółtym. Otwarcie ścieżki nastąpiło 12.10.2001 r. w rocznicę śmierci św. Jadwigi. Na każdym z siedmiu kamieni, które znajdują się wzdłuż trasy, umieszczono w trzech językach, jakimi posługiwała się św. Jadwiga (polskim, niemieckim i łacińskim), hasła-cnoty teologiczne, którym hołdowała: Wiara, Nadzieja, Miłość, Umiar, Roztropność, Sprawiedliwość, Odwaga. Siódmy kamień znajduje się na wzgórzu zamkowym w Rokitnicy, gdzie wznosił się zamek Henryka I Brodatego i Jadwigi. Powstał z połączenia kamieni z Andechs – miejsca urodzenia Jadwigi, kamieni z Trzebnicy, gdzie zmarła, oraz kamieni z ruin zamku rokitnickiego. W dniu 17.04.2004 r. przy kamieniach posadzone zostały drzewka, pochodzące z Bawarii (7 czerwonych buków), Trzebnicy (7 buków), Czech (7 lip) i okolic Złotoryi (7 dębów). Ogółem posadzone 28 drzewek – przy każdym kamieniu po cztery drzewka w tej samej kolejności: Bawaria, Złotoryja, Trzebnica, Czechy. Przy kamieniach IV i VI nie było miejsca na posadzenie drzewek, więc umieszczono je przy polnej drodze między Kopaczem a Rokitnicą. Drzewka zostały ochrzczone imionami z kręgu św. Jadwigi. Z inicjatywy TMZZ *Ścieżka św. Jadwigi* została w 2004 r. włączona do międzynarodowej Drogi św. Jadwigi, prowadzącej z Andechs do Trzebnicy. Za przejście szlaku można zdobyć Odznakę Jadwizańską.



**Kamień św. Jadwigi w Złotoryi**

*Koniec*  
**Jerzy Maciejewski**



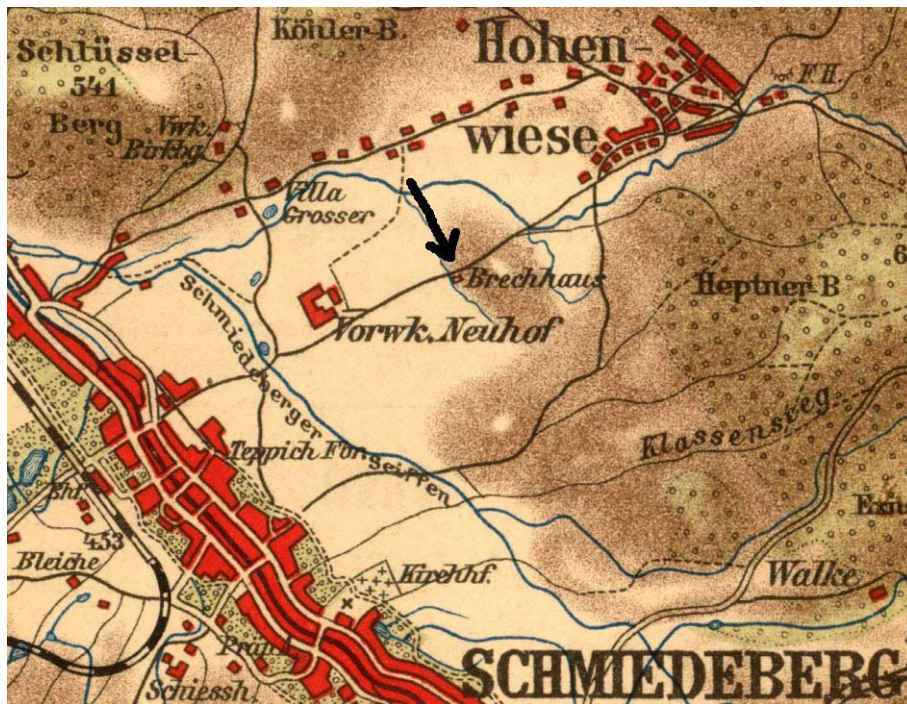
# Kat – niegodne rzemiosło?

**P**rowadząc poszukiwania historyczne, odnaleźliśmy na starej mapie Kowar obiekt o nazwie własnej „Brechhaus”. Może to być nazwisko właściciela – nazwa oznaczałaby wtedy Dom Brecha. W wolnym tłumaczeniu nazwa ta może także znaczyć „Dom łamacza”. W jęz. niemieckim czasownik *brechen* oznacza m.in. łamać. Budzi to oczywiste skojarzenia z łamaniem kołem, co jest zajęciem kata.

Pierwszym kowarskim katem w 1725 r. był Hans Heinrich Kneisel. Odnotowano to w „Historii Miasta Kowary w Karkonoszach spisanej przez Theodora Eisenmängera, onegdaj nauczyciela miejskiej szkoły ewangelickiej, wydanej w 1900 roku”.

Nie każde miasto mogło sobie pozwolić na zatrudnienie urzędnika, jakim był kat, który był opłacany z kasy miejskiej. Z racji swojej „niezbyt czystej” profesji kat mieszkał poza murami miejskimi. Miał razem ze swoją rodziną osobne miejsce w kościele. Ludzie się go bali, albowiem zajmował się nie tylko wykonywaniem wyroków, ale także łapaniem bezdomnych psów, kotów, odcinaniem wisielców etc. Kat jako profesjonalista musiał znać anatomię człowieka, aby wiedzieć, w jaki sposób wydobyć z niego zeznania i jak skutecznie zadawać ból czy bezboleśnie wykonywać wyroki śmierci. Zawód kata czasami biegł przez rodziny. Kat sam w sobie nie był sadystą. Był po prostu rzemieślnikiem. Jego „praca” na wolnym powietrzu sprowadzała się nie tylko do widowiska, jakim było ścięcie, ew. powieszenie etc., ale także na nadaniu przestrogi pospółstwu pokazując, „co może czekać osobę, która nie przestrzega prawa”. Istniało też ryzyko, że kat, który nie poradził sobie ze skazańcem, a gawiedzi się to nie spodobało, mógł być w takich samych opałach jak skazaniec – tłum mógł go zlinczować. Jeżeli jakiś skazaniec w szczególny sposób „podpadł” sędziemu lub radzie miejskiej, mogli oni zażądać, aby wyrok wykonywał czeladnik bądź uczeń, aby zadać dodatkowy ból psychiczny i fizyczny skazańcowi. Jako urzędnik miejski kat musiał znać Prawo Magdeburskie, a jedna z legend mówi nawet katowskiej uczelni *Collegium Iustitiales*, która jakoby istniała w Wojcieszowie.

Kowarski kat wykonywał wyroki na „Szubienicznej Górze” (*Galgenberg*), która znajduje się na południowachód od kowarskiego ratusza, w pobliżu współczesnego cmentarza komunalnego. Obszar ten nazywano *Schindanger*. Pierwotnie była tam drewniana



Dom kata (Brechhaus) na fragmencie mapy Kowar początku XX w.



Ruiny szubienicy na „Straconce” w Ściegnach. Podobnie mogła wyglądać szubienica w Kowarach. Fot. Zbigniew Piepiora

szubienica. W XVIII w. wzniesiono murowaną szubienicę studniową, po której dziś już nie ma śladu. Najpewniej była podobna do tej na wzgórzu „Straconka” (*Galgenberg*) w Ściegnach w okolicy Kowar. Obecnie znajdują się tam ruiny Frankońskiej Szubienicy. Wykonywano na niej wyroki śmierci m.in. przez ścięcie lub powieszenie na łańcuchu czy sznurze.

Być może kowarski kat tam także pracował. Być może pracował również w Karpaczu przy Lipie Sądowej czy na Przełęczy Kowarskiej, na której jakoby wykonywano wyroki śmierci dla przestrogi. Wystawa narzędzi tortur w „Domu Kata” w Kowarach, przy drodze wojewódzkiej nr 367 z Jeleniej Góry do Wałbrzycha, jest więc jak najbardziej na „miejscu”.

*Zbigniew Piepiora i Robert Andrzejewski*

## Co jest na Czarnej Kopie w Karkonoszach?

**K**iedy z karpackiej Wilczej Poręby patrzymy w kierunku Sowiej Doliny, bez trudu zauważymy po jej zachodniej stronie charakterystyczną „brodawkę” zamykającą Czarny Grzbiet. To szczyt Czarnej Kopy, stanowiący stertę odłamków łupku łyszczykowego, po czesku *svor*. Co można ciekawego napisać o Czarnej Kopie? Oj, można, można...

Góra oglądana z Drogi Przyjaźni Polsko-Czeskiej od strony Śnieżki rzeczywiście wygląda na kopę. Trudno dopatrzeć się tego od północy czy południa. We wschodnich Karkonoszach jest to imponujących rozmiarów masyw o długości prawie 6,7 km i maksymalnej szerokości do 2,1 km. Dłuższa jest czeska część góry (4,75 km), opadająca stopniowo przez kulminację Jeleni hory (1172 m) do zlewu Jeleniego potoku z Małą Upą na prawym jej brzegu. Po polskiej stronie grzbiet góry jest najszerszy (około 1,8 km) na linii granicznej. Po południowej stronie wyodrębniają Czarną Kopę od północowschodu odnogi Sowiego Potoku (Sovi potok), będącego lewym dopływem Dobytczego potoku (nazwa od apelatywu *dobytek*), który wpada na prawym brzegu do Małej Upy u stóp Kravi hory. Od zachodu i południowozachodu ogranicza Czarną Kopę Jeleni potok, wypływający w Slunečnem udoli z Obří hřebena (Czarny Grzbiet), który przepływając przez Lvi důl wpada do Małej Upy na skraju Spalenyego Mlyna. Po śląskiej stronie granicę zachodnią stanowi wypływająca z Czarnego Grzbietu Rajska Płóczka, prawy dopływ Łomniczki. Z kolei **Łomniczka** jest północno-zachodnią granicą na odcinku od ujścia Rajskiej Płóczki do Wilczej Poręby. Na północy masyw zamyka napływowy stożek wilczoporębski (dla nas: szlak zielony do Szerokiego Mostu). Od północowschodu, wschodu i południowschodu granicę stanowi Sowi Dolina, aż po Sowią Przełęcz. Czarna Kopa posiada odnogę w postaci Średniej Góry, którą od północozachodu wyodrębniają potoki Płóknicy i Niedźwiedziej Kąpieli, a od południowschodu Dobytçi potok z Sowim Potokiem.

Poza wymienionymi hydronimami należy wyróżnić źródło Emmin pramen, które wypływa na południowo-wschodnim zboczu Svorovej hory, około 70 m na południowozachód od dawnego schr. *Jelenka*, oraz lewy dopływ Jeleniego potoku o nazwie *Vasova strouha*. Obie nazwy mają charakter odosobowy, pierwsza z nich, pamiątkowa, upamiętnia hrabinę E. Czernin-Morzin-Hohenelbe. Sovi potok jest nazwą relacyjną do Sovi sedlo. Ta ostatnia jest czeską wersją **Sowiej Przełęczy** (1164 m) i bodaj jedynym w Karkonoszach przykładem adaptacji nazwy



**Widok z Karpacza na Sowią Dolinę. Od lewej: Skalny Stół, Sowią Przeł., Średnia Góra i Czarna Kopa. Niżej zalesiona Pohulanka**

polskiej przez nazwę czeską. Z kolei Sowiej Przełęcz jest nazwą relacyjną do starszej **Sowiej Doliny**, która jest adaptacją leksykalną niemieckiej nazwy *Eulengrund*. Mimo że polska część Czarnej Kopy jest ponad dwukrotnie krótsza od czeskiej, posiada o wiele ciekawsze nazewnictwo. Z pewnością wpłynęło na to okruszczenie Sowiej Doliny, które najpierw zaowocowało działalnością Walończyków, a później starymi robotami górniczymi. Polska nazwa **Czarna Kopa** jest adaptacją leksykalną nazwy niemieckiej Schwarze-Koppe, od której utworzono również



**Panorama z Łysociny (1182,2 m). Od lewej: Studnična hora, Śnieżka, Czarna Kopa z d. schr. Jelenką i Średnia Góra**

nazwę czeską Černa kůpa. Aktualnie Czesi używają nazwy Svorova hora, której człon określający wyjaśniono na wstępie. Wyraźne wklęśnięcie (1367 m), oddzielające Czarny Grzbiet od Czarnej Kopy, to **Czarne Siodełko**. Z obniżenia prowadzi przecinka do doliny Rajskiej Płóczki, która po północnej stronie Czarnej Kopy wypływa w odległości 220 m. Przez siodełko wiedzie Droga Przyjaźni Polsko-Czeskiej ze Śnieżki na Okraj. W rejonie tym występują wieńce gruzowe. **Rajska Płóczka**, zwana też Czerniawką, wypływa w ostro wciętej dolince poniżej Czarnego Siodełka na około 1260 m i płynąc na granicy KPN uchodzi do Łomniczki jako jej prawy dopływ. Nazwa od dawnej płóczki złota przy jej ujściu.

Wspominana już wschodnia i północno-wschodnia odnoga Czarnej Kopy nosiła niemiecką nazwę Mittel-Berg, co jakiś dowcipniś „przetłumaczył” na Średnią Kopę. Trudno pojąć, dlaczego w Karkonoszach najgłupsze nazwy przyjmują się zadziwiająco szybko, kiedy te najmądrzejsze torują sobie drogę do turystycznej wyobraźni całymi latami. Ciężko dojrzeć **Średnią Górę** w panoramie Karkonoszy od północy. Opada ona wschodnim zboczem w stronę Sowiej Przełęczy, a następnie do Sowiej Doliny w kierunku północno-wschodnim, dlatego Czesi nazwali to płaskie ramię Müstek (mostek). Średnia Góra znana jest z dwóch powodów. Od północozachodu oddziela ją od Czarnej Kopy potok **Płóknica**, nazwany tak przez T. Stecia, którego zirytowała KUNM osobliwym ustaleniem nazwy **Płomnica** dla potoku o nazwie Plagnitz, Plaknitz! Mówiąc inaczej, to właśnie Płomnica powinna być Płóknicą. Na północnym zboczu Średniej Góry i nad wschodnim zboczem Płaskiego Dołu na terenie KPN w odległości 300 m na południowachód od szlaku czarnego znajdowała się **Chatka Puchatka**, samoobsługowy schron turystyczny.

W północnym zakolu zbocza Średniej Góry, poniżej granicy państwa, a źródłowym obszarem Płóknicy, rozciąga się zalesiony pas zbocza o długości 400 m „ochrzczony” **Źródlanym Zboczem**. Nazwa zastępuje nieco starszy toponim Czarne Zbocze, ponieważ tak nazywa się północno-zachodnia część zbocza Małego Szyszaku. Przez środek zbocza między źródłami Płóknicy prowadzi ścieżka do czarnego szlaku obok b. Chatki Puchatka. Płóknica o długości zaledwie 1 km posiada rekordowy w Karkonoszach spadek 329 m! Dwa źródłowe potoczki Płóknicy łączą się na wysokości 1106 m tworząc **Płaski Dół**, którym potok spada w dół po progach wypreparowanych w łupkach łyszczycowych. Jedynym, lewym dopływem Płóknicy jest **Osieczna**. Potoczek długości 600 m sączy się w podmokłej dolince z północno-wschodniego zbocza Czarnej Kopy z wysokości 1250 m i zmierza w kierunku Płaskiego Dołu, gdzie uchodzi do recypientu na wysokości 960 m, kończąc Płaski Dół. W dolnym biegu Osiecznej, między potoczkiem i Płaskim Dołem, znajduje się skalisty fragment zbocza o niem. nazwie Verhau. Nazwa polska **Zasieki** jest adaptacją leksykalną nazwy niemieckiej. Nie ulega wątpliwości, że stara nazwa niemiecka (już na pierwszej TKM z 1885 r.) jest zgermanizowaną słowiańską nazwą obronną, adaptowaną leksykalnie z *zasiiek*, *osiek*. Stąd relacyjna nazwa Osieczna dla potoczku. Można przypuszczać, że w średniowieczu cała okolica poniżej Sowiej Przełęczy była „osieczona”, broniąc przejścia z Czech na Śląsk, a Zasieki są tylko drobną pozostałością w postaci nazwy terenowej.

Wysoko na północno-wschodnim zboczu Czarnej Kopy, między ścieżką do Chatki Morgana a Zasiekami, figuruje na TKM niem. nazwa *Klausenrand*. Ta złożona nazwa niemiecka o charakterze topograficznym

wykazywała wahanie, ponieważ na pierwszym arkuszu „Krummhübel” z 1885 r. ma formę *Clausenrand*. O wiele łatwiej tłumaczy się -rand jako krawędz, skraj, kres, margines, brzeg, obwódkę, niż pierwszy człon adaptowany z łacińskiego *claudere* – zamykać, *clausula* – zamknięcie. Niemieckie *Die Klausen* jest nazwą wieloznaczną: 1. cela mnisha, 2. strefa w klasztorze, w której nie mogą przebywać osoby świeckie, 3. przełęcz w Alpach, 4. nadzór, 5. pustelnia, erem, 6. kłauza. Istotne są dwa ostatnie znaczenia. *Die Klausen* (czes. kłauza) to tama ziemno-drewniana, budowana na górkim potoku do spiętrzenia wody w celu łatwiejszego spławiania drewnianych bali. Duże kłauzy posiadały nawet wymyślne śluzy. Nazwa oraz umiejętności budowy i obsługi wykształciły się na pograniczu szwajcarsko-austriackim już w średniowieczu. Stamtąd pochodzili przybyli w Karkonosze mistrzowie od kłauz. W środkowej Europie kłauzy istniały od Alp po Gorgany. Polska adaptacja fonetyczna *kłauza* powstała na przełomie XVIII i XIX w. na terenie zaboru austriackiego (Galicja). Steć o tym nie wiedział i wymyślił w 1962 r. nowotwór *kłauzura*, być może pod wpływem osobistych doświadczeń związanych z nowicjatem u benedyktynów. Kłauzura została ochoczo przyjęta przez dolnośląskie piśmiennictwo turystyczne, aż zagościła na mapach ([www.pl.wikipedia.org/wiki/kłauza](http://www.pl.wikipedia.org/wiki/kłauza)). Należy jednak podkreślić, że Steć opisuje w monografii „Karkonosze” wyłącznie kłauzy po czeskiej stronie dlatego, że po śląskiej stronie Karkonoszy nigdy ich nie było! Z tego powodu nazwy Klausenrand i Kłauzury nie mogą być związane z kłauzami. *Die Klausen* w znaczeniu pustelnia, erem posiada również polskie substytuty: samotnia i odludnia, co w tym przypadku ma znaczenie, gdyż, jak podaje A. Bańkowski, nazwa pustelnia weszła do jęz. polskiego dopiero dzięki J. Słowackiemu (*Król Duch*). Przed nim pustelnia była pustynią, a pustelnik działał jako pustynnik. W tej sytuacji zwracam się do wymienionej już odludni, co daje zupełnie zrozumiałą nazwę **Odludny Skraj**. Tak jak niemiecka poprzedniczka jest ona topograficzną nazwą złożoną z funkcją charakteryzującą. Nazwa Kłauzury trafiła na polskie mapy z początkiem ostatniego dwudziestolecia XX w.



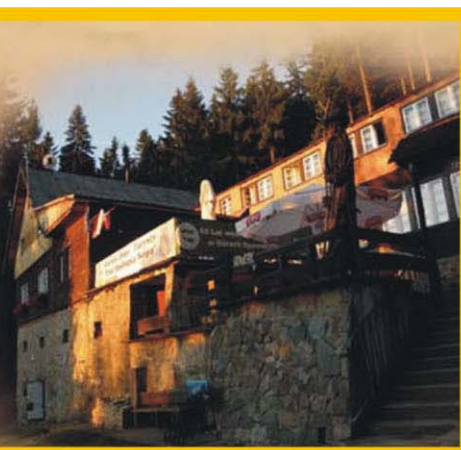
**Betonowy Most**

Średnią Górę od Kowarskiego Grzbietu oddziela potok **Niedźwiedzia Kapiel**, wypływający spod Sowiej Przełęczy. W 1958 r. Steć nazwał go najpierw Niedźwiadą, ale po kilku latach zreflektował się i zaproponował nazwę Niedźwiedzia Kapiel. Jest to jeden z najpiękniejszych karkonoskich hydronimów! Niestety, rzeczywistość wygrała ze Steciem, bo nazwa Niedźwiada została utrwalona przez kilka pierwszych wydań map PPWK. Potok łączy się z Płóknica na wysokości 891 m tworząc **Płomnicę**, która jest prawym dopływem Łomniczki o długości 2,4 km.

*Cdn.*

*Jerzy K. Bienkowski*

Górski Dom Turysty  
"Pod Biskupią Kopą"  
48-267 Jarnołtówek 211  
tel. 077/439-75-84  
[www.biskupiakopa.pl](http://www.biskupiakopa.pl)  
e-mail: [biskupiakopa@wp.pl](mailto:biskupiakopa@wp.pl)



# Bożkowski Pałac

**P**ierwszą rezydencję w Bożkowie na Ziemi Kłodzkiej zbudowała w XVI w. rodzina von Raueck. Renesansowy dwór rozbudowano w XVII i XVIII w. W 1871 r. budynek strawił pożar i rodzina von Magnis rozpoczęła odbudowę według projektu znanego architekta Karla Schmidta. Prace budowlane przy efektownym neorenesansowym pałacu zakończono około 1877 r. Ostatnia przebudowa rezydencji miała miejsce około 1930 r., kiedy otrzymała ona klasycystyczną fasadę. Malownicze elewacje o



cechach neobaroku i neorenesansu uproszczono w XX w. w stylu klasycystycznym. Rezydencję otacza rozległy park krajobrazowy z XVIII i XIX w., ozdobiony pięknymi tarasami, które, niestety, zostały zniszczone. Po II wojnie światowej zabytek początkowo był nieużytkowany, następnie przeznaczono go na Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, kolejno na inne szkoły związane z rolnictwem, a po remoncie w 1956 r. ulokowano w nim Technikum Rolnicze. Pałac pod jego zarządem był dobrze utrzymany, m.in. w latach 1975-79 przeprowadzono generalny remont.

Szkoła funkcjonowała do 2002 r., ale pomimo remontów i starań spora część zabytkowego wyposażenia została zdewastowana. Pałac obecnie można zobaczyć tylko z zewnątrz i w tej sytuacji trudno ocenić, co jeszcze przetrwało we wnętrzach. Starostwo Kłodzkie wynajęło zabytek szwedzkiemu inwestorowi, który mimo że zobowiązał się wyremontować zabytek, nie zrobił nic. Kiedy więc pod koniec 2005 r. pałac z wielką pompą kupiła irlandzka firma *Fenelon Group International*, mieszkańcy Bożkowa pomyśleli, że zły czas się skończył. Bo Irlandczycy wizje roztaczali piękne. Miały tam powstać luksusowe apartamenty dla bogaczy, pola golfowe i inne cuda. Inwestor obiecał stworzyć centrum konferencyjno-wypoczynkowe dla klientów z najwyższej półki. Niestety, wyszło inaczej. Niedługo po kupieniu pałac wystawiony został na sprzedaż na jednym z portali aukcyjnych. Na początku wyceniono go na 22 mln zł. Potem cena spadła już do 9 mln zł. W 2010 r. zabytek kupiła firma z Sobótki za niewiele, ale pałac, który przez lata zaniedbań popadł w totalną ruinę, dzisiaj jest wart „grosze”. W przyszłości inwestor planuje stworzyć tu hotel o różnicowanym standardzie. Miejmy nadzieję, że plany obecnego inwestora nie ulegną zmianie, gdyż miejsca noclegowe w tak pięknym pałacu przyciągnęłyby z pewnością niejednego turystę.

Barokowy park przypałacowy założony został najprawdopodobniej już przed 1771 r. Jest on prostokątny, 120x240 m (3 ha), z barokowymi tarasami wspinającymi się na stoku wzgórza. U podnóża stoi pałac. W 2 połowie XIX w. powiększono go do 8 ha jako park krajobrazowy z zachowaną pierwotną barokową częścią. W 1800 r. stanął w nim Zameczek –



sztuczna, romantyczna ruina, w której umieszczono szesnaście płyt nagrobkowych z XVI i XVII w. Na grobowcach znajdują się posągi chłopców z młeczami i zielonymi kapeluszami, zawołowane księżniczki z małymi dziećmi. Prócz tego w ogrodzie stoi mumia, czyli skamieniała jodła znaleziona w kopalni, wiek drzewa szacowano na 4-6 mln lat.

Dobre gleby wokół Bożkowa sprzyjały rolnictwu. W 1939 r. było aż 125 gospodarstw. Po raz pierwszy w prowincji śląskiej zastosowano tu siewnik, zamieniono system trójpolowy na czteropolówkę. Duże znaczenie dla rolnictwa miała założona w 1797 r. nowoczesna owczarnia 10 tys. sztuk owiec, w której prowadzono krzyżówki ras: węgierskich, hiszpańskich i tyrolskich. W Bożkowie wprowadzono też po raz pierwszy uprawę rzepaku, a od 11.11.1812 r. rozpoczęła działalność cukrownia, która funkcjonowała do 1907 r. Do dzisiaj na zabytkowym magazynie zbożowym znajduje się tablica z cytatem Cyncerona: „EX OMNIBUS AUTEM. REBUS OUIBUS ALIOUID ACQUIRITURNIHIL EST AGRICULTURA MELIUS NIHIL IUCUNDIUS. NIHIL HOMME NIHIL LIBERO DIGNIUS” Cicero MDCCCXVI, co oznacza: ZE WSZYSTKICH ZATEM RZECZY. Z KTÓRYMI COŚ MOŻNA PORÓWNAĆ NIC NIE TEST LEPSZE OD ROLNICTWA. NIC POZYTYWNIJSZE, NIC CZŁOWIEKOWI DLA WYZWOLENIA STOSOWNIEJSZE” Cicero 1816.

W Bożkowie powstały też inne zakłady przetwarzające płody rolne: browar i olejarnia. Kiedy ród Strassnitz obejmował posiadłość, była ona warta 40 tys. talarów. Tworzyły ją cztery folwarki, dwa młyny wodne i kopalnia węgla Frischauf. We wsi mieszkało 14. kmieci, większość stanowili chałupnicy, wśród nich rzemieślnicy. W 1781 r. Magnisowie uruchomili drugą kopalnię węgla kamiennego. Rozwijająca się wieś potrzebowała nowych usług i instytucji. Stąd powstawały sklepy wielobranżowe, tekstylne, z rowerami i radioodbiornikami, 5 rzeźni, 4 piekarnie, 7 restauracji, nadto warsztaty rzemieślnicze: ślusarski, stolarski, 2 młyny (jeden w Małym Bożkowie), apteka, fryzjerstwo, zegarmistrzostwo i jubiler. Działały również poczta, policja, bank i straż pożarna. Niestety, z tych usług zostało obecnie niewiele, poczta zamknięta w 2007 r., straż pożarna, fryzjerstwo, piekarnia, stolarstwo i niewiele gospodarstw.

*Maria Szwedziuk*

## Krzywa Wieża w Ząbkowicach Śląskich

**T**ym razem zabieramy na wycieczkę do Ząbkowic Śląskich, gdzie możemy zobaczyć nietypową budowlę, której odchylenie od pionu wynosi ponad 2 m. Krzywa Wieża bo o niej jest mowa, stanowi najprawdopodobniej pozostałość dawnego zamku, który istniał tu jeszcze przed lokacją miasta, lub też po prostu została zbudowana jako miejska dzwonnica. Taką rolę pełniła zresztą od XV w. aż do II wojny światowej.

W 1858 r., podczas wielkiego pożaru miasta, górna część wieży uległa zniszczeniu. Po dokonanej odbudowie, która trwała do 11.10.1860 r., otrzymała ona zwieńczenie w kształcie jaskółczych ogonów, a jej wysokość od tej pory wynosi 34 m. Nie wiadomo dokładnie, dlaczego wieża uległa pochyleniu. Powszechnie uważa się, że przyczyną mogły być wstrząsy tektoniczne, które odnotowano 15.09.1590 r. Nie wyklucza się również, że przyczyną stało się rozmoknięcie gruntu, które spowodowało osiadanie fundamentu. Istnieje także legenda opowiadająca o wydarzeniach z 1858 r., kiedy po wielkim pożarze miasta wykonano ekspertyzę fundamentów. Na podstawie przeprowadzonych badań stwierdzono bowiem, że wieża od początku mogła zostać zbudowana pochylona. Ot, taka fantazja budowniczych, którzy chcieli, by Ząbkowice posiadały wyjątkową i niepowtarzalną budowlę. Obecnie odchylenie wieży od pionu wynosi 2,12 m. Warto dodać, że podczas pomiarów dokonanych w 1977 r. stwierdzono, że odchylenie wynosi 1,98 m. Dziś Krzywa Wieża pełni funkcję punktu widokowego.

**Krzywa Wieża**, ul. Krzywa 1, 57-200 Ząbkowice Śląskie, tel. 74-815-20-43, [www.krzywawieza.eu](http://www.krzywawieza.eu). **Godziny otwarcia:** III–XI, wtorek–sobota 9:00–17:00, **bilety:** 6/3 zł.

*LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”*



## SKRZYCZNE

**T**ym razem skok we wschodnią część Beskid Śląskiego. Bohaterem tego odcinka jest góra, kojarzona przez wielu z narciarstwem zjazdowym, dobrze rozpoznawalna z wielu miejsc. Elementem ułatwiającym identyfikację, ale i orientację jest wieża przekaźnika telewizyjnego. Górą tą jest...

**Skrzyczne.** Wznosi się wysoko ponad Szczyrk. Mierzący 1257 m szczyt jest najwyższym w Beskidzie Śląskim. Położony prawie na skraju grupy górskiej, szczególnie efektywnie prezentuje się z Kotliny Żywieckiej. Leży idealnie na zachód od Żywca. Jest doskonale widoczny z pociągu, gdy zbliżamy się dojeżdżając z Bielska-Białej do Żywca. Położenie jest szczególnie korzystne dla miłośników dalekich widoków, o czym później. Wiele źródeł wskazuje Skrzyczne jako północne zwieńczenie Pasma Baraniej Góry. Rzeczywiście, od wierzchołka Baraniej aż po szczyt Skrzycznego uformowany jest długi górski wał, obecnie bardzo wyraźny i widokowy ze względu na wylesienia znacznych połaci grzbietów. W jego połowie znajduje się rejon Malinowskiej Skały, stanowiący zwornik dla grzbietu głównego i bocznego, odchodzącego na Salmopol (północozachód). Skrzyczne prezentuje się wspaniale z przeciwległej strony doliny, w której leży Szczyrk. Widać to, gdy idziemy jednym ze szlaków wiodących na Klimczok. Warto wtedy od czasu do czasu spojrzeć za siebie.

**Nazwa.** Wywodzi się ją od skrzeczenia żab, zasiedlających niegdyś stawek w kotle między Skrzycznem a Małym Skrzycznem. Tak podaje w *Dziejopisie Żywieckim* Andrzej Komoniewski. Traktujmy ją i żaby i stawek historycznie, dziś nie ma po nim śladu. Pozostała nazwa.

**Dojazd.** Nic prostszego, jak przyjechać do Szczyrku. Od wschodu dojeżdżamy bezpośrednio samochodem lub autobusem przez Żywiec. Do Żywca dojazd także pociągiem z Katowic czy Bielska-Białej. Być może, po rewaloryzacji szlaku kolejowego zostanie przywrócony ruch pociągów osobowych na trasie Sucha



Śląskie „połoniny” i Skrzyczne



Rozstaje w drodze ze Szczyrku – zielony szlak w prawo

Beskidzka – Żywiec. Od zachodu dojazd przez Ustroń, Wisłę i słynną Przełęcz Salmopolską – polecam turystom na rowerach. Szczyrk to najbliższa miejscowość i punkt wypadowy na górę. Można dojechać jeszcze dalej i wyżej. W grudniu 2013 r. uruchomiono nową kolejkę kanapową, wywożącą niemal na sam wierzchołek Skrzycznego. Górna stacja znajduje się tuż przy budynku przekaźnika TV. Jeżeli ktoś był na Skrzycznym na początku lat 90. ub. wieku, dziś może doznać szoku. Z tamtej góry wiele nie zostało. Gospodarze tego terenu postawili na komercję i tłum, byle zarobić. *Modernizację górnej części kolei linowej na Skrzyczne, na odcinku Jaworzyna-Skrzyczne, prowadził Centralny Ośrodek Sportu. Prace ruszyły na przełomie lipca i sierpnia. W miejscu 2-osobowego krzesła powstała 4-osobowa kanapa z osłonami, wysokimi zagłówkami i indywidualnymi barierkami dla narciarzy. Czas wjazdu skrócił się z 13 do... 4 minut. Przepustowość „kanapy” to 2400 osób na godzinę* (źródło: Dziennik Zachodni). No cóż. Było ładnie, jest „nowocześnie”. Całość przypomina nieco grzbiet Wielkiej Raczy po stronie słowackiej. Turystom pozostaje niewychodzenie powyżej schroniska i kierowanie wzroku bardziej na wschód i południe.

**Szlaki turystyczne.** Turysta pieszy ma do dyspozycji kilka szlaków. Oprócz szlaków pieszych w rejonie Skrzycznego znajduje się kilkanaście narciarskich tras zjazdowych, w części utrzymywanych przez COS. Bezpośrednio na wierzchołek prowadzą szlaki ze Szczyrku: niebieski i zielony, do którego w pobliżu szczytu dołącza czerwony z Buczkowic. Tu uwaga! Początkowy odcinek szlaku zielonego ze Szczyrku, który wiedzie ul. Leśną, może się wydać nużący i nawet męczący, ponieważ trzeba iść drogą wyłożoną żelbetowymi płytami otworowymi, za to od granicy lasu, gdy zaczyna się właściwe podejście, idzie się już normalną ścieżką, jak na turystyczny szlak przystało. Odcinki podszczytowe szlaków od wschodu i północy są strome, jednak bardzo ciekawe i atrakcyjne. Szlak niebieski ze Szczyrku



**Skrzyczne ze szlaku na Klimczok**

ku przewija się przez wierzchołek i zbiega na południowschód do Ostrego. Od południa przez Małe Skrzyczne doprowadza na szczyt szlak zielony, biegnący przez Malinowską Skałę ku Baraniej Górze i dalej aż na Stożek. Jest to dzisiaj jeden z najciekawszych szlaków w Beskidzie Śląskim – dzisiaj, bo za kilkanaście lat zmieni się znacznie. W tej chwili, na skutek wylesień szlak ten jest widokowy, idzie się niemal jak przez bieszczadzkie połoniny. Za jakiś czas, gdy nowe nasadzenia wyrosną, nowy las zasłoni dzisiejsze...

**Widoki.** Ze szczytu najlepsze są ku wschodowi i północy. Na wschodzie w panoramie dominuje masyw Babiej Góry, nieco bliżej rysuje się zachodnia część Beskidu Żywieckiego. Całkiem na południe widzimy grzbiet kulminujący na Baraniej Górze i Wielką Raczę, a przesuając wzroku ku wschodowi rozpoznajemy Wielką Rycerzową, Lipowską i Rysiankę, Romankę i rozłożyste Pilsko. Jak na dłoni mamy Kotlinę Żywiecką, Żywiec i „Żywieckie morze”, czyli zalew na Sole. Patrząc na północ widzimy śląskich sąsiadów, czyli grupę Klimczoka i Szyndzielni.

**Baza noclegowa.** Turysty zwykle korzystają z usług schroniska PTTK, położonego tuż pod szczytem. Powstałe w latach 30. XX w. dobrze służy pokoleniom turystów. Jest wygodne, sympatyczne i dobrze wyposażone. Czasy dziś takie, że nawet latem nie ma problemu z noclegiem. Największa frekwencja jest w sezonie narciarskim. W Szczyrku znajduje się wiele kwater, pensjonatów i hoteli o różnym standardzie, więc każdy turysta, wczasowicz i narciarz znajdzie tam coś odpowiedniego dla siebie.

**Mapy i przewodniki.** Z tym nie ma problemu, na rynku obfitość map tego regionu i Beskidu Śląskiego. Trzeba tylko chcieć kupić i używać mapę. W domowym planowaniu wycieczek i tras wielodniowych na pewno pomocna jest internetowa mapa, którą znajdziemy wpisując: [mapa-turystyczna.pl](http://mapa-turystyczna.pl).

*Juliusz Wysłouch*

# Dar szczególny i wspaniały (5)

**C**zterokrotnie otarłem się o śmierć. Dwukrotnie zostałem uratowany przez Ukraińców. Nie było okazji, by okazać im za to wdzięczność. Nie wiadomo też, czy ujawniając przypadki okazywanego miłosierdzia nie wyrządę tym ludziom krzywdy. Nie czuję się pokrzywdzonym przez los. Uważam, że inni mieli dużo gorzej. Jednak to, co zobaczyłem i przeżyłem, przerasta po dzisiaj mój hart ducha. *Tego człowiek nie powinien widzieć i nawet nie powinien wiedzieć*, tak jednym zdaniem, zaczerpniętym z *Opowiadań kołymskich* Wałami Szalamowa, określić można rzeczywistość wspomnianego ludobójstwa. Pomimo upływu tylu lat pamięć jest mocniejsza od próby czasu. W atmosferze licznych sporów o *rachunki krzywd* i w perspektywie swoiście pojętej idei pojednania w duchu *politycznej poprawności*, usiłuje się stawiać znak równości między ofiarami i sprawcami ludobójstwa. Nie da się jednak wyznaczyć takiej symetrii. Jaki był sens tych zbrodni? Czemu miały służyć? Do tych pytań warto wracać, bo ciągle za słabo znamy ten fragment naszej tragicznej, współczesnej historii. Nie dajmy umrzeć historycznej pamięci! Nie pozwólmy politykom, by w imię partyjnych interesów i załganych teorii o *konflikcie polsko-ukraińskim* nasi męczennicy zostali zapomniani. Uczynimy to nim wiatr rozwieje prochy 150.000 Polaków z 4100 miejscowości Kresów II Rzeczypospolitej pomordowanych przez UPA.

Pomordowani Polacy z licznych wsi, kolonii osadniczych, chutorów i przysiółków w zdecydowanej większości nie mieli katolickiego pogrzebu. Odchodzi ostatnie pokolenie, które było świadkiem ludobójstwa. Umierają z żalem, że chcemy poprawić stosunki sąsiedzkie z Ukrainą, a nie zostały dopełnione podstawowe powinności wobec zmarłych: pochówku, nabożeństwa żałobnego i postawienia krzyża. Powinnością Państwa Polskiego jest nazwanie wszystkich zamordowanych po imieniu, przywrócenie im pamięci oraz wskazanie, także po imieniu, wszystkich katów i oprawców. Pamięć jest warunkiem ciągłości pokoleń. Stąd cieszy stanowisko Prezydenta RP wypowiedziane 14.07.2013 r. podczas mszy w katedrze w Łucku: *Niezbędne jest godne upamiętnienie ofiar w miejscach ich śmierci i cierpienia. To zadanie dla nas wszystkich, obywateli i polityków Polski i Ukrainy. (...) Wciąż jednak wiele ofiar spoczywa w niezidentyfikowanych, bezimiennych dołach śmierci. Wciąż czekają tam na chrześcijański pochówek. Czekają też ich rodziny, by móc nareszcie modlić się nad mogiłami najbliższych o spokój ich duszy.*

Piszę o tym, ponieważ nie można stawiać ideologii ponad rzeczywistością i polityki przed prawdą. Jest to także wyraz poszanowania trudnej, ale naszej historii. Ponadto jestem już w podeszłym wieku, przybywa mi lat, natomiast ubywa zdrowia, a pamięć o tamtych tragicznych dniach powinna być przekazywana młodemu pokoleniu. Jest to po prostu moje zobowiązanie wobec poprzednich pokoleń, mam nadzieję – z pożytkiem dla przyszłych, dług pamięci wobec moich najbliższych i dalszych przodków. Chodzi o to, żeby ich ból nie umarł razem z nimi. Jest to także moja powinność jako wieloletniego nauczyciela akademickiego. Nie mogę tylko powtarzać za Janem Lechoniem:

*Jak Dante za Wergilim schodzimy do podziemi  
Słuchać jęków w ciemnościach, gdzie się rozum traci,  
Śród murów obryzanych przez krew naszych braci,  
Przez które zda się jeszcze wołają do siebie,  
Idźmy szukać tych kości, których nikt nie grzebie.*

Ojczyzna wyraża to wszystko, co od najwcześniejszych lat noszę w sercu i umyśle oraz co wyrasta z krzemienieckiej tożsamości i dziedzictwa, a równocześnie miejsca mego urodzenia w *dolinie mgłą zawianej*, wychowania w rodzinie; miasta, w którym zawsze inne i niepowtarzalne ruiny zamku przyglądają się z wysokości gór Bony; gdzie *Ikwy srebrne fale płyną i gdzie góry moje błękitnieją mrokiem*. Łączy się ona także z edukacją w Ostrowcu Świętokrzyskim, Tczewie i Poznaniu. Miejscowości te stapiają się w jedno w kalejdoskopie snów i pamięci.

*Tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną  
Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,  
Bo kiedy Zośka do Ojczyzny wróci,  
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi, (...)  
Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone  
Będą ci całe poemata składać.  
Ja bym to samo powiedział, co one,  
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;  
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,  
Byłem ja niegdyś, jak Zośka dzieciną.  
Dzisiaj daleko pojechałem w gości  
I dalej mię los nieszczęśliwy goni.  
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,*

*Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,  
Bo mi naprawdę odmłodzić potrzeba.  
Wróć mi więc z kraju taką – jakby z nieba.*

Udajmy się z Wieszczem w poetycką wycieczkę po Krzemieńcu i otaczających go górach idąc po jego słowach, metaforach, szukając swoich myśli, marzeń i wspomnień z perspektywy przeszłości w przyszłość i ucieczki poza granice codzienności. Może porozmawiamy o tym przy wytyczonym wokół ogniska kręgu młodzieży szkolnej i studenckiej, w którym ujawnia się poczucie więzi.

Krzemieniec leży w głębokiej dolinie ukierunkowanej z południowschodu na północzachód w scenerii Gór Krzemienieckich, podzielonych jarami od wschodu na góry: Bony (Zamkową), Czerczę, Dziewiczą, a na zachodzie na pochyłe góry: Osowica, Kamienna, Wołowica, Rymarka i Kaliczówka. Góry Krzemienieckie są na wyciągnięcie ręki, a to pobudza wyobraźnię. Główną arterią miasta stanowiła ulica Szeroka (obecnie T. Szewczenki). Z licznych zabytków uwagę zwracają ruiny zamku książęcego (XIII-XIV w.), kościół i kolegium jezuitów (1731-43), kościół i klasztor Franciszkanów (XVII w., w 1732 przebudowany na cerkiew), kościół i klasztor Trynitarzy (XVIII w.), kościół parafialny, dworek Słowackich, pomnik J. Słowackiego, cmentarze, kamienice i dworki (XVII-XIX w.). Najczęściej uczęszczaliśmy na msze do kościoła parafialnego, w którym zwraca uwagę brązowy odlew rzeźby Wacława Szymanowskiego, przedstawiający siedzącą postać Juliusza Słowackiego i stojącego za nim skrzydlatego rycerza. Na marmurowym postumencie widnieje cytat z *Testamentu* wieszczka: *Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec*. Natomiast w czasie uroczystości państwowych odwiedzaliśmy kościół licealny. Dziś, gdy wracam myślami do fundamentów wiary wyniesionych z domu rodzinnego i pogłębianych w tych kościołach, powtarzam strofy z wiersza *Miasto rodzinne* Władysława Broniewskiego:

*Wy nie wiecie, jak tam biją dzwony,  
Stare dzwony o cichym zmierzchu,  
Kiedy słońca język czerwony  
Liże fale, rude po zmierzchu.*

W dzień Wszystkich Świętych odwiedziliśmy cmentarze (dwa katolickie, unicki, prawosławny i żydowski). Wszystkie stanowiły swoiste parki, z bogatą roślinnością i okazałymi drzewami. Najchętniej odwiedziliśmy cmentarz *unicki* (pochowani są tam dziadkowie J. Słowackiego i jego matka), *bazylikański* (z grobami profesorów Liceum Krzemienieckiego, w tym Willibalda Bessera, ojca polskiej florystyki) i *polski* (liczne ofiary nalotu niemieckiego na Krzemieniec 12.09.1939 r. i pomordowani przez oddziały UPA).

Dla mnie rodzinny *Krzemieniec* jest miastem stale obecnym w moim sercu i pamięci. Tonący wiosną i latem w zieleni, a zimą śnieżnobiały. Wiąże mnie z nim wiele wspomnień oraz przeżyć radosnych i smutnych. Kocham go. Jest to miasto, które urzeka, przyciąga i fascynuje. Jego atmosferę nie sposób oddać słowami, Trzeba tam być, by ją chłonąć. Spróbuję to uczynić słowami narodowego wieszczka, a zarazem najznamienitszego krzemieńczanina:

*Tam – pod okiem pamięci – pomiędzy gór szczytem  
Piękne rodzinne miasto wieżami wytryska  
Z doliny, wąskim nieba nakrytej błękitem.  
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska;  
Gdy w słońcu rzędem białe ukazuje domy,  
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.  
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute  
I z szumem w kręte ulice spadają załomy.*

Krzemieniec ma wiele walorów krajoznawczo-turystycznych. Nie miejsce tu na wyliczanie jego atrakcji, które są dziełem przyrody i człowieka. Tęskni za nimi Juliusz Słowacki zawsze i wszędzie z oddalenia, na wygnaniu. Wspomnienia przepięknej przyrody rodzinnego Krzemieńca łączą się w jedną całość, do której wciąż w myślach swoich wraca, toteż pisze:

*Stęskniłem się do Twoich pól kwitnących i murów,  
Do tych borów, co dziecku, tam pod górą Bony,  
U Ikwy fal szumiały...*

Natomiast w *Królu Duchu* znajdujemy takie wspomnienia:

*O! Ty cudna i cicha naturo,.  
Któraś pokryła kraj ten, krwią uprawny,  
Płaszczem ogromnym z płynącego złota,  
Po którym w duchu jest szmer i tęsknota.*

Nie pora też na przedstawienie przebogatej tradycji Krzemieńca i związanych z tym miastem ludzi. Na jego przykładzie można doskonale zilustrować zjawisko, które określa się nazwą *genius loci*.

*Cdn.*  
*Kazimierz Denek*

# Nowy pomorski szlak kulturowo-turystyczny

*Małe ojczyzny uczą żyć w ojczyznach  
wielkich, w wielkiej ojczyźnie ludzi...*

ks. Janusz St. Pasierb

**W** 84. rocznicę urodzin ks. Janusza St. Pasierba 7 stycznia br. w Zespole Szkół Ekonomicznych im. ks. Janusza St. Pasierba w Tczewie zainaugurowano na Pomorzu obchody Roku ks. Janusza Stanisława Pasierba. Jednym z zasadniczych punktów jego inauguracji obok konferencji popularno-naukowej było zaprezentowanie powstałego „Pomorskiego szlaku kulturowo-turystyczny ks. Pasierba”. To kolejna cegiełka społeczności tczewskiego ekonomika do poszerzania świadomości o życiu i twórczość tego Pomorzanina i Europejczyka, to wartości, które pomorskie społeczeństwo uznało za niezwykle ważne i dalej chce je utrzymywać i propagować w całym kraju. Zmarł w Warszawie 15.12.1993 r. Zespół, któremu 18.12.1998 r. nadano imię ks. J. S. Pasierba – uczonego, historyka sztuki, poety i eseisty, od tego momentu działa na rzecz upowszechniania spuścizny kulturowej Honorowego Obywatela Miasta Tczewa. Co roku odbywa się tu „Święto Patrona”, a w jego ramach liczne konkursy: recytatorski, literacki, plastyczny, gastronomiczny, wiedzy o sztuce, a także o życiu i twórczości Patrona. Szkoła aktywnie współpracuje z Fundacją im. ks. J. S. Pasierba w Warszawie, która promuje jego twórczość i myśl. Wśród działań związanych z osobą ks. Pasierba należy wymienić szkolne publikacje: „Ks. Janusz St. Pasierb w anegdocie”, „Ks. Janusz St. Pasierb – Myśli”, „Ks. Janusz St. Pasierb – Patron Szkoły”, tomik wierszy „W rytmie dnia i pór roku” oraz płytę z utworami poety pt. „Nie czekaj na życie” w interpretacji uczniów, absolwentów i chóru szkolnego. Twórczość jego – dzięki tłumaczeniom na wiele języków – znana jest w świecie, podobnie jak sam autor, dodajmy – pomysłodawca licznych konkursów, wystaw i spotkań z publicznością, promujących kulturę i literaturę polską w kraju i za granicą. Dzięki wzniesieniom jego utworów, konkursom recytatorskim jego imienia (o zasięgu ogólnopolskim) organizowanym w Pelplinie, licznym publikacjom książkowym jemu poświęconym, ks. Pasierb ze swoją twórczością poetycko-eseistyczną jest stale obecny w świadomości współczesnego pokolenia, w tym i młodzieży – m.in. jako patron Liceum Ogólnokształcącego w Pelplinie oraz ZSE w Tczewie. Liczne działania (m.in. wycieczki) przyczyniły się do nawiązania współpracy z Piotrem Kończewskim, dyrektorem Biura LOT KOCIEWIE, w celu powstania i zorganizowania tytułowego szlaku.

**Szlak ks. Pasierba** z Lubawy przez Grudziądz, Pelplin, Tczew do Żarnowca to szlak kulturowo-turystyczny, którego myślą przewodnią jest prezentowanie walorów kulturowych Pomorza Gdańskiego z Ziemią Chełmińsko-Lubawską, Powiślem, Żuławami, Kociewiem i Kaszubami. Turysta, przemierzając jego trasę (korytarz turystyczny): rowerem, pieszo, samochodem, motocyklem czy też kajakiem, ma realizować także przewodnią myśl ks. Pasierba: *Człowiek nie podróżuje do rzeczy, tylko do ludzi*. Był on także piewą małej pomorskiej ojczyzny. Zajmował się sztuką nowożytną Gdańska i Pomorza Gdańskiego. Wiele uwagi poświęcał ochronie zabytków. Był autorem monografii znakomitego pomorskiego malarza Hermana Hana oraz dzieł dotyczących skarbów i zabytków Pelplina. W jego poezji i literaturze znajdujemy odniesienia m.in. do „Galilejskiej urody Kociewia i Kaszub...”. Proponowana forma turystyki obejmuje zwiedzanie miejsc historycznych, archeologicznych, poznawanie lokalnych tradycji i zwyczajów, udział w imprezach kulturalnych, a także poznawanie dziedzictwa przemysłowego, w tym starych kanałów, linii kolejowych, fabryk, etc.

## GŁÓWNE MIEJSCA NA SZLAKU

**Lubawa** – tu 7.01.1929 r. urodził się Janusz Stanisław Antoni Pasierb. Do obejrzenia kościoł paraf. pw. św. Anny (1330), zw. farą, z kaplicą Mortęskich z 1581 r., bogate wyposażenie wnętrza; Sanktuarium MB Lipskiej; pozostałości murów obronnych z XIV-XVI w.; ruiny zamku biskupów chełmińskich z XIV w.; zespół szpitala miejskiego pw. św. Jerzego z 2 poł. XIX w.

**Grudziądz** – w kościele paraf. św. Mikołaja w 1952 r. ks. J. S. Pasierb został wikariuszem. Obejrzeć można średniowieczny układ urbanistyczny i zabudowania Starego Miasta; mury miejskie z XIV/XV w. (m.in. Brama Wodna); na wzgórzu zamkowym pozostałości zamku krzyżackiego z 2 poł. XIII w.; od strony Wisły zespół spichrzów z XIII-XVII w.; cytadela, której obroną wstawił się Courbiere na przełomie XVIII/XIX w.; Muzeum im. ks. S. Łęgi.

### Nowy most przez Wisłę Korzeniewo–Aplinki

**Tymawa** – kościół paraf. św. Michała Archaniola z XVII w., wyposażenie renesansowe i barokowe z XVII- XVIII w.).

**Gniew** – średniowieczny układ urbanistyczny miasta; zamek krzyżacki z XIII w., przebudowany w XVII w.; barokowy Pałac Marysienki z XVII w., przebudowany w XIX w.; domy z XVI i XIX w. z podcieniami; gotycki kościół paraf. św. Mikołaja z XIV w.; fragmenty murów miejskich; ratusz z XIV w., przebudowany w XX w.

**Pelplin** – w latach 1947-1952 Janusz Pasierb odbył studia filozoficzno-teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym; spoczywa na tut. cmentarzu; do poznania zespół opactwa pocysterskiego z XIII-XIV w. z bogatym wyposażeniem; klasycystyczny pałac biskupi z około 1837 r.; Muzeum Diecezjalne z bogatymi zbiorami sztuki gotyckiej (reprint Biblii Gutenberga); gotycki kościół Bożego Ciała z około 1417 r.

**Tczew** – w 1936 r. Janusz Pasierb rozpoczął naukę w tut. szkole powszechnej, ojciec został profesorem łaciny w miejscowym gimnazjum, w 1947 r. zdał maturę w Liceum Ogólnokształcącym. Warto obejrzeć gotycki fary kościół Podwyższenia Krzyża Świętego z XIII w., barokowe wyposażenie; poddominikański kościół św. Stanisława Kostki z XIV w.; fragmenty murów obronnych z XIV w.; most kratownicowy z XIX w.; Muzeum Wisły; Fabryka Sztuk; budynek pierwszej w Polsce Państwowej Szkoły Morskiej z 1911 r.; wiatrak typu holenderskiego z 1806 r.

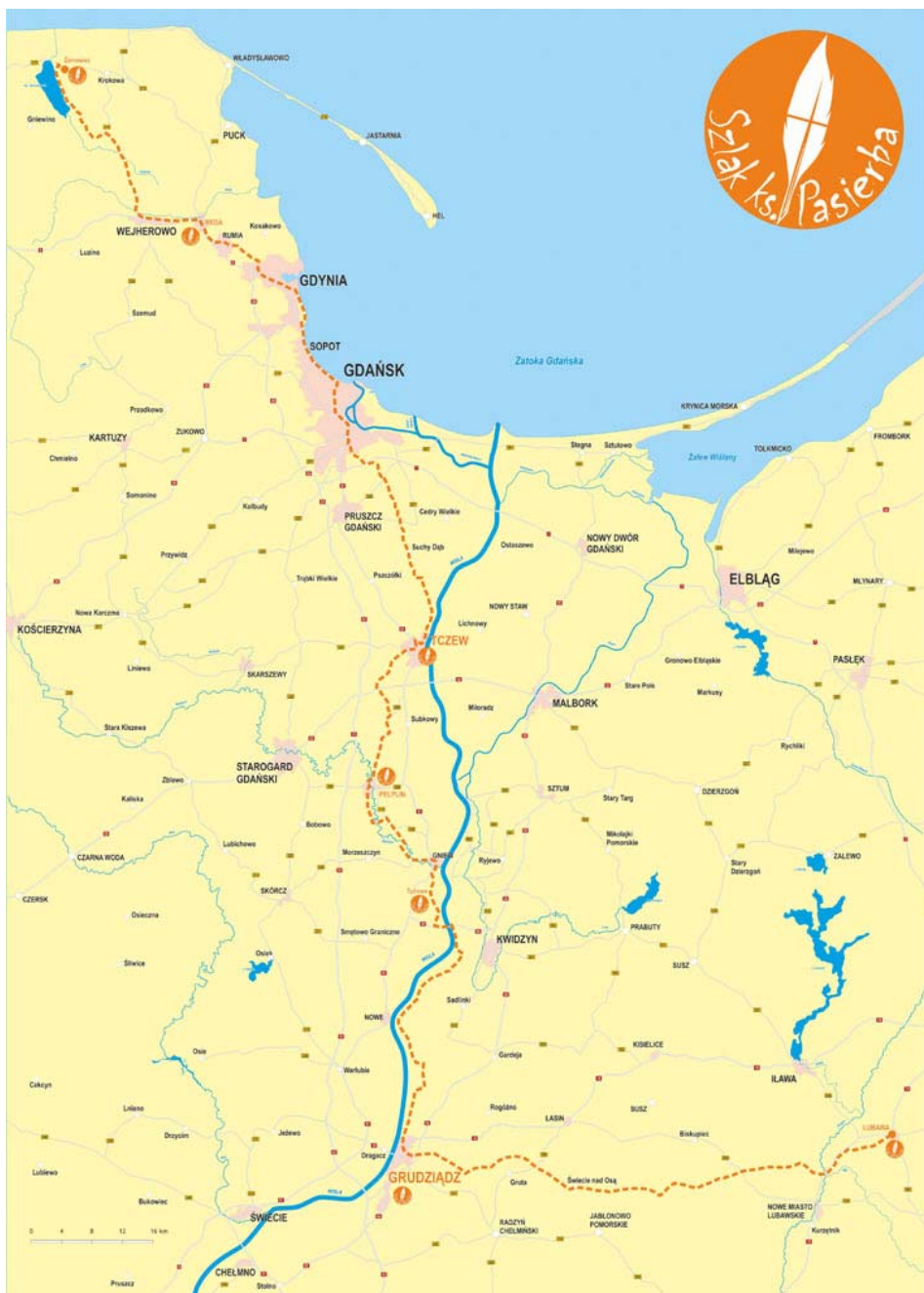
**Gdańsk** – m.in. kościół Mariacki z XV w.; Kaplica Królewska z XVII w.; Ratusz Główny z XIV-XV w.; Muzeum m. Gdańska; Dwór Artusa z XV w., przebudowany w XVII w.; Fontanna Neptuna z XVII w.; kamienice przy ul. Długiej i Długim Targu z XVII i XVIII w.; Brama Żłota z 1612 r.; kościół dominikanów św. Mikołaja z XIV-XV w.; kościół św. Katarzyny z XIV-XV w.; Wielki Młyn z XIV w.; Ratusz Staromiejski z XVI w.; budynek Poczty Polskiej; Brama Zielona z XVI w.; Żuraw z XV w.; Centralne Muzeum Morskie; Muzeum Narodowe; kościół franciszkanów św. Trójcy z XV w.; Pomnik Poległych Stoczniovców.

**Oliwa** – pocysterski zespół klasztorny z kościołem św. Trójcy i św. Bernarda, od 1925 r. katedralny ze słynnymi organami; Pałac Opatów z XVIII w.; Spichrz Opacki; Park Oliwski; Miejski Ogród Zoologiczny.

**Reda** – w 1953 r. ks. Janusz S. Pasierb został tu wikariuszem.

**Wejherowo** – zespół kalwarii: 28 kaplic wczesnobarokowych z XVII w.; kościół klasztorny reformatów z XVII w. z wyposażeniem barokowym; kościół farny św. Trójcy z XVIII w.; pałac z XVIII-XIX w.

**Żarnowiec** – ks. Janusz S. Pasierb był tu ojcem duchownym w zakonie benedyktynek; wielokrotnie przebywał w tej miejscowości i pobliskich Dębках na wakacjach; do poznania gotycki zespół klasztorny pocysterski z XIV-XV w. z bogatym skarbem (cenny zbiór haftów liturgicznych z XVII-XVIII w.); w pobliżu letnisko z najpiękniejszą polską plażą w Dębках.



*Jerzy Cisewski*

# O retro reklamie w niegdysiejszym Ciechocinku

**W**szechobecna w naszym życiu codziennym reklama dwojakie ma oblicza. Jest przekleństwem, gdy skala zjawiska i szpetota tablic i banerów na poboczach dróg rani nasze uczucia estetyczne, gdy wyziera irytująco w prasie, radiu, telewizji i we wszelkich innych publikacjach. Patrząc jednak z naszego, turystycznego podwórka, mamy pewność, że wiele interesujących pozycji z literatury krajoznawczej nie powstałoby, gdyby nie reklamy i towarzyszący im sponsoring.

Instytucja reklam i przedsięwzięć sponsorowanych nie jest wynalazkiem nowym. Przykładem niech będzie np. „*Pierwszy, ilustrowany przewodnik po Ciechocinku i okolicy z mapą zdrojowych zakładów i planem Ciechocinka*”, autorstwa Juliusza Bandrowskiego. Po to, aby sfinansować jego wydanie, liczący 136 stron przewodnik z 1908 r., w około jednej czwartej części wypełniony był reklamami. Zamierzchle to czasy, ponad wiek, a sposoby jakby dzisiejsze. Dla poznanie formy i treści reklam, archaicznej staropolszczyzny czy wreszcie odniesień do współczesności warto prześledzić niektóre z reklam i informacji z tego przewodnika. Są to trącające myszką wybrane fragmenty, które u dzisiejszego czytelnika wywołują życzliwy uśmiezek, a łącznie z odautorskimi komentarzami nadają publikacji formę anegdotek historycznych na tematy związane z turystyką uzdrowiskową. A zatem w drogę. W nader ważnej informacji dla przyjeżdżających do ciechocińskich wód kuracjuszy czytamy: *Podróż do Ciechocinka wszystkimi pociągami, ekspresem też idącym w każdy piątek z Warszawy do Berlina przez Aleksandrów Pograniczny, dojeżdża się stąd do Ciechocinka oddzielną odnogą w 15-20 minut (6 wiorst). Przyczem pamiętać należy, że przestrzeń tę można (w razie opóźnienia pociągu) odbyć także każdej pory dnia i nocy dorożką parokonną najętą w Aleksandrowie (cena 1 rubel, 20 kopiejek).*

Sto lat później, liczącą 6 wiorst, odnogę kolei żelaznej zlikwidowano, dorożki konne w Aleksandrowie nie czekają już na przyjezdnych, a konie mechaniczne też nie o każdej porze dnia i nocy. Jednakże w Ciechocinku, mimo licznych konkurencyjnych riksz i meleksów, dorożki konne były i pozostają trwałym elementem krajobrazu miasta. I tak, jak chce mistrz Konstanty Ildefons Gałczyński, dla miłośników przejażdżki fiakrem:

*...zawsze będzie choćby jedna  
choćby nie wiem jaka biedna  
zaczarowana dorożka  
zaczarowany dorożkarz  
zaczarowany koń.*

Podróży ciąg dalszy. *Drugi rodzaj komunikacji jest statkiem parowym z Warszawy aż na miejsce – niestety mniej szybka i wygodna trwa kilkanaście godzin (wyjazd o 8-iej rano codziennie przy przystani u mostu Zjazdowego nad Wisłą). Po wylądowaniu na przystani w Ciechocinku nając trzeba oczekującą dorożkę (szczególnie jeżeli ma się bagaż). Kołowa droga 3 wiorstowa trwa od przystani do 30 minut. Pieszko idzie się wprost niemal bliższą drogą, zawsze jednak pół godziny. Ot, co!!! – przybywający z Warszawy do Ciechocinka podróżny z parostatku stawał przed dylematem. Pokonać drogę do centrum uzdrowiska w pół godziny czy zaledwie w 30 min. Dalej przewodnik zaprasza na pokoje: *HOTEL MULLERA w Ciechocinku. Egzystuje od roku 1851. Położony tuż przy parku i kolei. Poleca się względem Szanownej Publiczności. 100 numerów z pościelą i usługą od 1 rubla do 4 rubli dziennie. Przy hotelu znajduje się cukiernia i pierwszorzędna restauracja. Powszechnie naonczas tiurniury, falbanki, gorsety, fiszbiny, podwiązki i panujące purytańskie obyczaje, a tu nagle zinstytucjonalizowane usługi w pościeli na 100 numerów???**

W klimat tego anonsu znakomicie wpisuje się dość frywolna



fraszka autorstwa Teresy Dragunowicz z Uzdrowiska Świeradowa-Czerniawa, powstała podczas V Kongresu Uzdrowisk Polskich w 1986 r. z okazji jubileuszu 150-lecia Uzdrowiska Ciechocinek:

*Zrazu pyta mamę synek  
Co to jest ten Ciechocinek  
Sanatorium w Ciechocinku  
To początek ciebie synku.*

Podobny wydźwięk miało też mojego autorstwa hasło reklamujące popularne tu wody mineralne „Krystynka”:

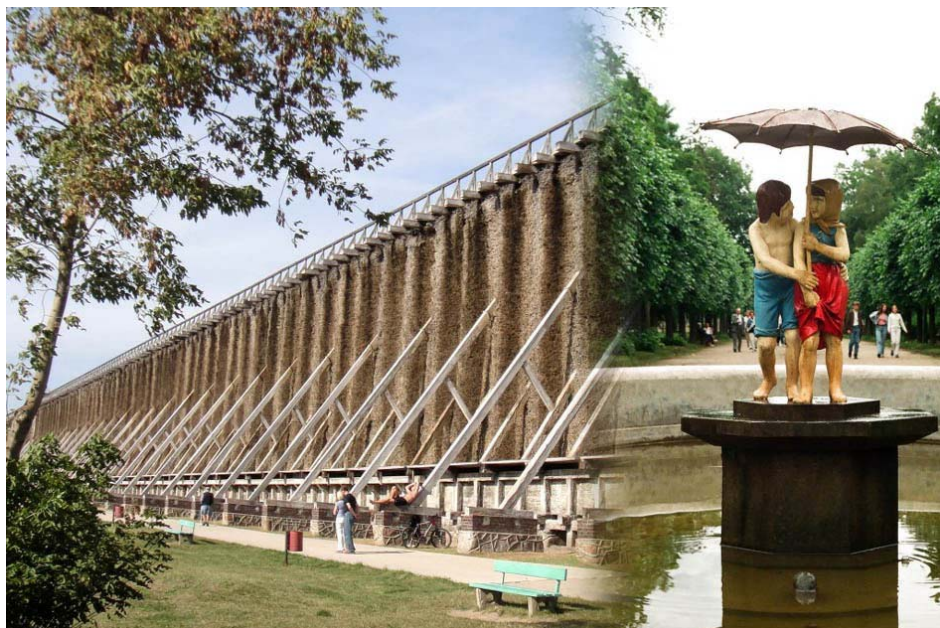
*Moja miłość Ciechocinek  
Zwłaszcza pociąg do „Krystynek”*

Ogólnie znane są i powielane anegdoty, pikantne dowcipy, fraszki i frywolne scenki rodzajowe, które znajdują podatny grunt tam zwłaszcza, gdzie występują większe skupiska ludzi oderwanych od codziennych trosk i dysponują wolnym czasem na szeroko rozumiany relaks. Takimi skupiskami są uzdrowiska. Tu radosna twórczość powstaje i funkcjonuje w ustnych przekazach z turnusu na turnus, wszak klimat życia towarzyskiego w uzdrowiskach tworzą sami kuracjusze. Wytworzył się nawet pewien rodzaj subkultury sanatoryjnej z powodzeniem kulturowanej we wszystkich uzdrowiskach. Tym zjawiskom nie należy się dziwić, bowiem uzdrowiska leczą, ale mają też swoją owianą mgiełką tajemniczości otoczkę.

Wróćmy jednak do ofert z pierwszej ćwierci XX w. *Pensjonat Leokadii Żurkowskiej w willach*

*„Poraj” i „Kościuszko” blisko nowych łaźni. 60 pokoi wygodnie umebrowanych z obszernymi werandami. Dobrze wyszkolona służba. Dzwonki elektryczne we wszystkich pokojach, Czytelnia, gry towarzyskie, pianino na miejscu. Lawn-tenis. Staranna opieka dla cięższych chorych. Pensjonat dla dzieci od lat 8 z troskliwą opieką. Kuchnia pod kierunkiem zdolnego kucharza i osobistym dozorem właścicielki pensjonatu. Obiady dietetyczne podług wskazówek lekarza dla chorych na katar żołądka, artretyzm, otyłość, chorobę cukrową itp.*

Okazuje się, że mimo dzielącej nas od tamtych czasów przepaści cywilizacyjno-technicznej niektóre z oferowanych usług wytrzymały próbę czasu. Ba! Przebijają niejedną z dzisiejszych ofert. Które z sanatoriów serwuje dziś kuchnię rodzinną (czytaj: znakomitą kuchnię), tenis ziemny czy też prasę i pianino dla użytku gości, a nie dekoracji świetlicy? Słowem, rzecz o wyższości małych pensjonatów nad gigantami sanatoryjnymi. Dla poparcia tej tezy zajrzmy do kolejnej willi: *Pensjonat Dr woj. A Sawickiej i E Mikułowskiej otwarty od 1-go maja do 1-go października. Długoletnia dzierżawa pierwszorzędnych willi w Ciechocinku pozwala mi odpowiednio rozszerzyć pensjonat i zaprowadzić ulepszenia zapewniające Sz. Publiczności wygodny i przyjemny pobyt. Mieszkania skanalizowane z piecami i pościelą. Usługa staranna. Kuchnia zdrowa i smaczna: na żądanie jarska lub dietetyczna według wskazówek lekarzy. Opieka dla chorych i młodzieży. Wspólne jadalnie, salon, fortepian, pisma. Mieszkania wynajmuje na sezony, miesiące i tygodnie. Dla uczącej się młodzieży w pierwszym i ostatnim sezonie, ustępstwa. Ceny umiarkowane. Dalej czytamy o bezwonnych wygodkach, rwaniu zębów, bezpieczeństwie publicznym, piramidach tortowych, uprzedzającej grzeczności służby, sterylnych warunkach zabiegowych, kieszonkowcach i innych ciekawostkach z historii zdrojowiska Ciechocinek reklamą pisanej. *Willa Kasztelanka – wzorowo zbudowana, pokoje przestrzenne, widne, wysokie z wentylacją i piecami. Dzwonki elektryczne i telefony. Wygodki korytarzowe bezwonne. Urządzenia pierwszorzędne. Wygodka korytarzowa z przymiotnikiem „bezwonna” oznaczała wówczas wyższy standard usług. Ciekawe! Wszak lokalizację niektórych dzisiejszych, miejskich szaletów publicznych określamy przy pomocy organu powonienia. Reklama dźwięnią sukcesu, zdaje się twierdzić firma oferująca wszelakie łakocie: Cukiernia i fabryka lodów M. Kamieński w Aleksandrowie poleca się względem Szanownej publiczności. Przyjmuje obstalunki na torty,**



piramidy i wszelkie pieczywo w zakres cukierniczy wchodzące. Cukry, czekoladki własnego wyrobu, jakoteż celniejszych fabryk. Ponad 100 lat temu ciechocińska poczta informowała: *Oddział telegraficzny przyjmuje i wydaje depesze bez ograniczenia godzin – we dnie i w nocy.* Ta informacja z myszką może dzisiejszych pocztowców przyprawić o kompleksy, bowiem światłowody w zestawieniu z telefonami na korbkę warte są tyle, ile praktycznych korzyści mają z nich klienci poczty. Wątpliwości, kto jest protoplastą współczesnych cinkciarzy, a także kantorów i banków rozwiewa komunikat: *Wymianę pieniędzy zagranicznych ułatwia tak zarząd hotelu Mullera, jak wszystkie większe zakłady po bieżącym kursie.* O policji i straży ogniowej czytamy: *Bezpieczeństwo publiczne, troska o nie, spoczywa na dworcu kolejowym w rękach żandarmeryi. W samym Ciechocinku w rękach policji miejskiej. Meldunki ułatwiają zarządy will. Bezpieczeństwo to znowu obowiązek miejscowej straży ogniowej, czynnej i sprawnej pod wodzą naczelnika p. inż. Nebelskiego.*

Niektóre pisane wzorce z tamtych czasów dają się wykorzystać i w dzisiejszej praktyce, np. przestroga: *Tak w wagonach jak i ścisłu na dworcu ciechocińskim zaleca się czujność przed śmiało tu operującymi złodziejami i kieszonkowcami (...).* *Kosztowności o ile nie noszone najlepiej umieścić w zarządzie willi. Większe pieniądze złożyć w kasie pocztowej, gdyż strzeżonego Pan Bóg strzeże.* A jakież to bezbolesne środki stosowano ongiś w dentystyce? *Gabinet dentystyczny Bertolda Chwat w Ciechocinku. Leczenie i plombowanie zębów bez bólu przy miejscowym znieczuleniu lub też pod narkozą.* Bez wątpienia restrykcyjnie brzmiał paragraf 25 regulaminu obowiązków i praw kuracjuszy Ciechocińskiego Zakładu Zdrojowo-Kąpielowego: *Winni otrzymania kąpeli, tuszów, inhalacji itd. sposobami nielegalnymi, oprócz pociągnięcia ich do odpowiedzialności sądowej, stracą prawo kuracji w zakładzie, a wniesionych przez nich opłat kuracyjnych nie zwraca się.* Inny, zapisany złotymi zgłoskami fragment regulaminu służył zapewne jako myśl przewodnia zakładów kąpielowych: *Obowiązkiem służby jest uprzedzająca grzeczność i spełnianie słusznych wymagań pacjentów. Wymaganie wynagrodzenia za usługę i przyrządzanie kąpeli jest wzbronione. Dywaniki przy wannach i w gabinetach pokrywane być mają czystymi ręcznikami, zmienianymi po każdej kąpeli. (...) W razie nieporozumienia uprasza się Szanowną Publiczność o zwracanie się do zarządzającego zakładem.* Spełnianie słusznych wymagań pacjentów wydaje się być zapisem wielce ryzykownym, ale czyste ręczniki zmieniane po każdej kąpeli, w zestawieniu z trzeszczącą współczesną rzeczywistością po prostu powalają z nóg!

**Bogumił R. Korzeniewski**

## Powitanie słońca w Budnikach

**Z**organizowano tu 15 marca br. spotkanie na powitanie słońca, które po zimowej przerwie ponownie oświetli i ogrzeje swoimi promieniami przebywających turystów. W przygotowanie imprezy zaangażowały się następujące instytucje: Urząd Miasta Karpacza, Towarzystwo Miłośników Karpacza i Towarzystwo Miłośników Budnik. Zaplanowano wyjście turystów zarówno z Karpacza, jak i Kowar. Organizatorzy zadbałi o właściwą oprawę tak ważnego wydarzenia. Przygotowano ognisko, ugotowano kwaśnicę, malinową herbatę oraz



zaproponowano poczęstunek w postaci chleba ze smalcem i słodkich ciasteczek. Turyści mieli możliwość upieczenia nad ogniem przyniesionych kiełbasek. Wykonano pamiątkową fotografię. Najważniejszym jednak dla wszystkich momentem było zapalenie przygotowanego światełka zastępczego. Okazało się jednak, że słońce również wyjrzało zza chmur i opromieniło wszystkich obecnych w Budnikach.

**Krzysztof Tęcza**

## Południowo-wschodni kraniec Pogórza Kaczawskiego

**C**iągnący się pomiędzy dolinami Przylęcznicy i Nysy Małej na północy oraz Nysy Szalonej na południu teren to najdalej na południowschód wysunięty fragment Pogórza Kaczawskiego (ściślej: jego części, noszącej nazwę Pogórza Wojcieszowskiego). Obszar ten stanowi część Sudetów Zachodnich. Mimo że dolina Nysy Szalonej wyraźnie oddziela tę część Sudetów Zachodnich od Sudetów Środkowych, zdarza się, że wzniesienia krańca Pogórza Kaczawskiego, takie jak Łomna, Świerczek, Kocisko czy Okrąglak, zaliczane są do Pogórza Bolkowskiego. Jednak poza tym, że góry te leżą blisko Bolkowa, a z dala od kojarzonych z Pogórzem Kaczawskim miejscowości, takich jak Złotoryja, Świerzawa czy Myślubórz, są one i inne okoliczne wzniesienia integralną częścią Sudetów Zachodnich. Z Pogórzem Bolkowskim nie mają wiele wspólnego.

Dolina Nysy Szalonej jest na tym terenie szeroka i gęsto zabudowana domostwami Wolbromka i Kłaczyny – sporych wsi, leżących nieopodal Bolkowa. Wiedzie tamtędy lokalna szosa z Bolkowa do Roztoki. Dawniej wzdłuż doliny tej jeździły także pociągi. Pasażerskie zapewniały połączenie m.in. Marciszowa ze Strzegomiem przez Bolków i Roztokę. Kłaczyna, której budynek stacyjny leży już na Pogórzem Bolkowskim, wówczas śmiało mogła być polecana jako punkt wyjścia do penetracji południowo-wschodniego krańca Pogórza Kaczawskiego. Mimo braku pociągów warto nadal podjąć trud dotarcia do tej wioski. Atrakcyjność jej jako punktu wyjściowego, mimo braku kolei, z uwagi na położenie jest nadal duża. Przez wieś przebiega zielony Szlak Zamków Piastowskich. Na krańcu Pogórza Kaczawskiego poprowadzony jest on w dużej części widokową Drogą Wapienną. Można z niej zobaczyć spore fragmenty Pogórza Bolkowskiego czy też w dalszej perspektywie okazałe prezentujących się stąd Gór Wałbrzyskich. Równie atrakcyjne panoramy można obejrzeć spod wierzchołków Kociska (319 m) oraz sąsiedniego Okrąglaka (340 m). O ile wierzchołki tych wzniesień porasta las, tak spod nich, ze skraju lasu, możemy prowadzić dalekie obserwacje. Dolne zbocza górki pokrywają użytki rolne, głównie pola uprawne, które w żadnym wypadku nie przesłaniają widoków. Świetnym punktem temu służącym jest np. rejon leśnej ambony, oznaczonej numerem „4”, stojącej na zboczu Kociska, dość blisko jego wierzchołka. Widać stąd płaskie jak stół Obniżenie Podsudeckie i niemniej płaską Równinę Świdnicką. Na horyzoncie dość blisko widoczne są szczytowe partie Wzgórz Strzegomskich. Łatwo rozpoznać stąd poszczególne ich „wyspy” Czeskiej Góry-Granitowej, Góry oraz Jedlic. Bardziej na prawo widać znów masyw Góry Świętego Jerzego-Krzyżowej Góry. Widoczna jest stąd oczywiście także Ślęza. Podobny, choć nieco skromniejszy widok czeka na turystów, którzy zdecydują się na wędrówkę polną drogą, wiodącą z rejonu Celowa na wierzchołek Kociska. Wzniesienie to uchodzi za najdalej na południowschodzie położony szczyt Pogórza Kaczawskiego. Wierzchołek jego porośnięty w całości lasem mieszanym, w podszyciu porasta gęsta trawa. Mimo to zlokalizować go dość łatwo. Wśród traw znajduje się bowiem znak pomiarowy z przybitą doń tablicą, przestrzegającą przed tym, iż uszkodzenie znaku podlega karze.



**Kraniec Pogórza Kaczawskiego z Kociskiem znad zabudowań Kłaczyny**

Idąc od zabudowań Celowa, znaku tego szukać trzeba na przewyższeniu drogi prowadzącej przez wierzchołek, z lewej strony.

Dużo lepszym punktem wyjścia do penetracji opisywanego krańca Sudetów Zachodnich, z uwagi na dość częste połączenia autobusowe (w tym na linii Wrocław – Jelenia Góra), jest Bolków. Z miasteczka, znanego głównie za sprawą zamku, można wybrać się czerwonym Szlakiem Brzeźnym nie tylko do leżących na jego trasie ruin zamku Świny, ale i na niezwykle interesujący, choć pomijany przez turystów grzbiet Swarnej (389 m), Popielowej (360 m) i Schodów (353 m).



### Droga Wapienna nad zabudowaniami Kłaczyny

To najbardziej górski fragment tej części Pogórza Kaczawskiego. W przeciwieństwie do monotonicznie opadających ku Obniżeniu Podsudeckiemu zboczy Kociska spotkać tam można miejscami bardzo strome zbocza, a prócz nich także inne, kojarzone z górami, atrakcje, np. skałki. Najciekawszy odcinek wspomnianego czerwonego szlaku rozpoczyna się po przekroczeniu przezeń szosy nr 3, wysoko nad zabudowaniami Świn. Trasa początkowo prowadzi drogą leśną trawersując zbocza Swarnej. Po kilkunastu metrach doprowadza na przełęcz oddzielającą ją od sąsiedniej Popielowej. Kolejny jej odcinek to podejście na Popielową. Wędrówka tamtędy jest niewielką namiastką pobytu w Górach Stołowych. Niknąca, nienajlepiej oznakowana ścieżka prowadzi bowiem między licznymi głazami, porozrzucanymi po zboczu. Skalne atrakcje oferuje też sam wierzchołek Popielowej. Nie warto jednak w tym miejscu kończyć wędrówki. Dosłownie kilkanaście metrów dalej ścieżka doprowadzi prawie nad krawędź grzbietu. Krawędź bardzo stromą i usianą licznymi skałkami. Jedne z nich, nieco dalej od Popielowej, nazywane są niekiedy Schodami. Osadzone co kilkanaście metrów bloki skalne ostro wcinają się w strome zbocze. Dalszy odcinek czerwonego szlaku dość stromo sprowadza do biegnącej po poziomicy drogi leśnej, trawersującej zbocze Schodów. Nazwę taką nosi również wierzchołek i zbocze grzbietu, opadającego amfiteatralnie w stronę zabudowań wioski Kwietniki. Od jej niemieckiej nazwy (*Blumenau*) las na grzbiecie Swarnej, Popielowej i Schodów zwany był przed 1945 r. *Blumenauer Forst*. Być może, wtedy frekwencja na tym terenie była większa. Dziś wspomniany wyżej dukt leśny miejscami zarośnięty jest po pas. To wyraźna oznaka, iż mało kto tędy chodzi. Dość monotonicznie trzeba wędrować tym duktem, prowadzącym nad stromym zboczem Schodów, by po odbiciu w prawo wyjść z lasu na teren otwartych łąk i pól uprawnych. Z rejonu tego widać inny leżący na krańcu Pogórza Kaczawskiego szczyt – Psią Górę, zwaną też Psią Górką (306 m). Wzniesienie w całości porośnięte jest gęstym lasem. Przed 1945 r. zwany był on *Forst Wederau*, a nazwę swoją przybrał zapewne od leżącej u stóp Psiej Góry wioski Wiadrów (niemiecki *Wederau*).



### Schody

również jeden, jak i drugi kompleks leśny są prawie nieznanymi turystom. Ciekawych miejsc tam jednak nie brakuje. Nie brak tam też ciszy i spokoju, mimo iż tuż obok nich przebiega ruchliwa szosa nr 3. Ona też *de facto* oddziela las wiadrowski od dawniejszego lasu kwietnickiego. Jadąc nią warto nie tylko zatrzymać się w Świnach na zwiedzenie ruin tamtejszego zamku, ale i wyruszyć w rejon Swarnej, Popielowej i Schodów.

Tytułem ciekawostki można dodać, iż obecnie przedwojenny *Blumenauer Forst* nie nosi nazwy Kwietnickiego Lasu. Nazwę taką uzyskał za to obszar lasu porastającego Zagrodę – wzniesienie leżące po drugiej stronie doliny Przyłęcznicy, w widłach tegoż potoku oraz Nysy Małej. Przed 1945 r. obszar ten nosił z kolei nazwę *Gehege* (Zagroda).

*Bartosz Skowroński*

## Kraj nad Nilem – podróż życia (2)

**C**zułam się nienasycona i żądna atrakcji. Zapraǳnęłam zobaczyć inne zabytki. Doskonałym miejscem, aby to zrobić, były miejscowości Karnak i Luksor. Tereny te należały do starożytnego miasta Teby i są bogate w niesamowite świątynie po obu stronach Nilu w Górnym Egipcie, czyli po przeciwnej stronie niż Kair. Podróż ponownie trwała kilka godzin, była nawet dłuższa niż do Kairu. Ponownie podróżowaliśmy w karawanie, tym razem nieco większej. Krajobraz był zgoła inny od północnej części Egiptu. Jechaliśmy w pobliżu rzeki, w związku z czym towarzyszyło nam więcej zieleni, pojawiały się palmy, drzewa i kwiaty. Widoki były znacznie przyjemniejsze i przyjazne oku. Ponownie spotkaliśmy się z niedokończonymi budowlami domów, jak również z domami z gliny. W porównaniu do naszych realiów prezentują się one mizernie, ale dla mieszkańców stanowią dobytek życia.

Pierwszym przystankiem była **świątynia w Karnaku**. Jest to właściwie zespół świątyń poświęconych tebańskim bogom. Powstała w czasach Nowego Państwa, czyli okresie największej potęgi i rozkwitu imperium egipskiego. Była wielokrotnie przebudowywana i rozbudowywana przez kolejnych władców. Odbывały się w niej koronacje faraonów i tajemnicze obrzędy. Jej zasadniczą część stanowi świątynia poświęcona bogowi Amonowi. Do pierwszego pylonu (jednego z dziesięciu w całej świątyni), czyli charakterystycznej potężnej bramy, prowadzi aleja procesyjna ze sfinksami o baranich głowach, które są symbolem boga Amona. Tu jest ich 40. Za pierwszym pylonem (wysokość 44 m, szerokość 113 m, grubość ścian 15 m!), który nigdy nie został ukończony, znajduje się dziedziniec z posągiem Ramzesa II z żoną Nefertari. Z dziedzińca można wejść do świątyni Ramzesa po prawej lub małej świątyni Setiego II po lewej. Po przekroczeniu drugiego pylonu wchodzimy do ogromnej **Sali Hipostylowej**. Jej wymiary to 103x53 m, co daje 5500 m<sup>2</sup> i oznacza to, że sala ta była największą salą starożytnego Egiptu. Salę tworzy dwanaście kolosalnych kolumn papirusowych o kapitelach w kształcie rozwartego kielicha mających wysokość 22,40 m. Nawy boczne utworzone są ze 122 papirusowych kolumn wiązkowych o wysokości 14,74 m, co daje w sumie 134 kolumny. Cała sala jest bogato zdobiona reliefami. Była ona przykryta stropem, niższa wysokość bocznych kolumn tworzyła w nim otwory okienne, wprowadzające światło do wnętrza. Układ przypomina późniejsze układy bazylikowe, nawa główna wyższa, jej okna doświetlają resztę pomieszczenia. Jest to pierwsze w historii zastosowanie tego typu układu funkcjonalno-architektonicznego. Wszystko

było bardzo kolorowo zdobione, pozostałości widać właśnie na elementach stropu. Sala ta zrobiła kolosalne wrażenie, myślę, że największe z wszystkich budowli egipskich. Była piękna, ogromna i dawała przyjemny cień, tworząc niesamowity klimat. Uczyłam się o tym, że starożytne budowle wcale nie były białe czy piaskowe, ale pokryte polichromią i bogato dekorowane. W tym miejscu można było zauważyć chociaż namiastkę dawnego piękna budowli. Trzeci pylon prowadzi na dziedziniec centralny, za którym trzy następne pylony znaczą wejście do sanktuarium, gdzie w świętej barce stał złoty posąg bóstwa. Po stronie południowej, za czterema kolejnymi pylonami,



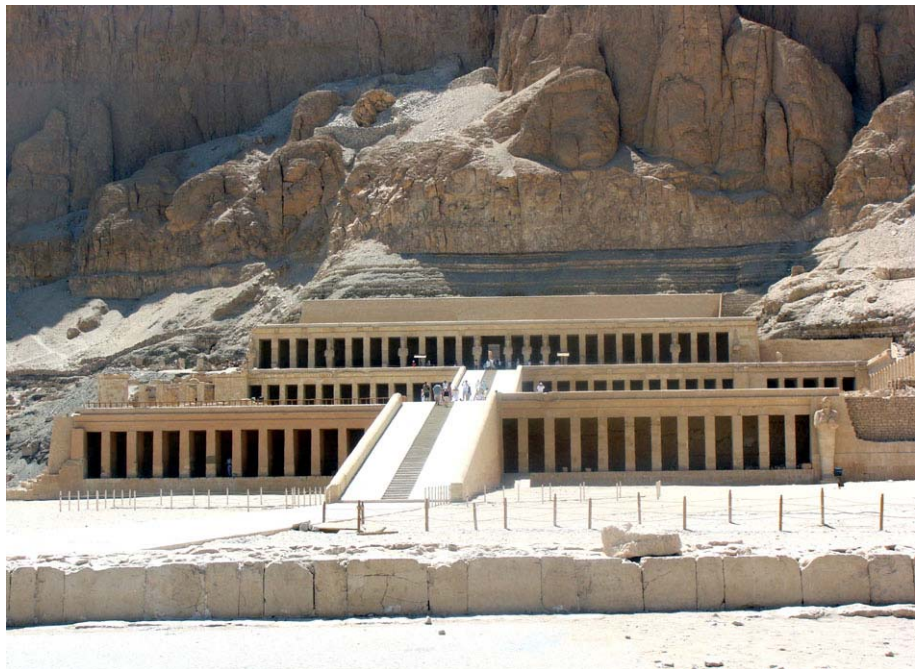
Reliefy na ścianach Sali Hipostylowej



**Kolumnada Sali Hipostylowej**

bowej tego faraona, zniszczonej prawdopodobnie przez trzęsienie ziemi. Wreszcie dotarliśmy do Luksoru, w którym główną atrakcją była **Świątynia Hatszepsut**, zwana Świątynią Milionów Lat, oparta na gigantycznej ścianie skalnej. Hatszepsut była pierwszą kobietą faraonem. Chcąc dorównać swojemu ojcu, Totmesowi I, który jako pierwszy z faraonów rozpoczął budowanie dla siebie grobowca w Dolinie Królów, zleciła architektowi Senenmutowi wzniesienie okazałej świątyni grobowej. Została ona zbudowana według klasycznego projektu egipskiego z tą różnicą, że dwa dziedzińce zastąpiono tarasami, a pylony kolumnadą, która wraz z pochylnikami tworzy dzieło niepowtarzalne. Drugiego tarasu strzegło 26 posągów Hatszepsut, z których zachowało się tylko kilka. Pomiędzy nimi przechodzimy na dziedzińiec. Znajdują się tam wejścia do głównego sanktuarium Amona oraz sanktuarium słońca i Hatszepsut. Niestety, nie ma możliwości wejścia do środka, dlatego musimy zadowolić się jedynie obejrzeniem dziedzińca.

Ostatnim już etapem podróży było zwiedzanie **Doliny Królów** – to dwie skalne, suche doliny przecinające masyw górski w Tebach Zachodnich, stanowi miejsce spoczynku królów Egiptu z czasów panowania dynastii od XVIII do XX. Jako pierwszy budowę swojego grobowca z dala od znanych nekropolii nakazał faraon Totmes I, a ostatni Ramzes XI. Archeologiczne badania doprowadziły do odkrycia 63 grobowców i 20 rozpoczętych, lecz nieukończonych budowli. Pierwszy plan doliny był sporządzony w 1738 r. przez angielskiego duchownego i podróżnika Richarda Pococke. Niewiele z grobowców zostało udostępnionych zwiedzającym w obawie przed niszczeniem nekropolii. W samych grobowcach podziwiać można jedynie malowidła naścienne, ponieważ całe ich wyposażenie, np. sarkofagi, monety, biżuteria, meble, broń, zostało w większości rozkradzione, nawet już w czasach faraonów. Nieliczne eksponaty zostały przeniesione do Muzeum Kairskiego bądź innych muzeów na świecie. Szkoda, że nie można zobaczyć, jak to rzeczywiście kiedyś wyglądało. Myślę, że ciekawym rozwiązaniem byłoby zagospodarowanie jednego z grobowców,



**Świątynia Hatszepsut**

stoi jeszcze nie w pełni odsłonięta świątynia bogini Mut, prawie tak duża, jak świątynia jej małżonka. W kompleksie mieszczą się jeszcze świątynie Chonsu i innych bogów. Dawno temu zniknęły ogrody otaczające wszystkie świątynie, lecz wciąż z drugiej strony jeziora roztacza się ładny widok na cały kompleks świątynny.

Kolejnym etapem wycieczki była przeprawa przez Nil niewielką łódką, którą nawet pozwolono mi pokierować. Wystarczy być blondynką, by liczyć na specjalne względy w Egipcie. Po drugiej stronie zrobiliśmy krótki przystanek, aby zobaczyć **Kolosy Memnona**. Są to dwa posągi wysokości 15 m, przedstawiające wizerunek faraona Amenhotepa III. Jest to jedyna zachowana część świątyni gro-

oczywiście elementy wyposażenia byłyby reprodukcjami, aby nie kusiły potencjalnych złodziei. Dolina Królów jest ekscytującym miejscem, owianym wciąż nutą tajemnicy. Nadal prowadzone są na jej terenie prace archeologiczne. Uważam, że nie wszystkie miejsca na świecie powinny zostać udostępniane dla turystów. Lepiej, jeśli pozostaną, niż miałyby zostać zniszczone w naszych czasach wyłącznie z próżności.

Poza fantastyczną, monumentalną architekturą, której nigdy nie zapomnę, Egipt dostarczył również innych niezapomnianych atrakcji. Coś, co na zawsze pozostanie mi w pamięci, to egipskie morze. **Nurkowałam**, wprawdzie z podstawowym sprzętem, czyli maską i płetwami, a nie z butlą, ale i tak nie mogę zapomnieć tego doświadczenia i pragnę więcej. Chyba nie potrafię opisać piękna rafy koralowej ani emocji, które mi towarzyszyły. Mnóstwo różnobarwnych ryb, roślin, koralowców stanowi przepiękne połączenie. Morze intryguje i fascynuje. Nurkując można zobaczyć coś zupełnie innego niż na co dzień, a dodatkowo spędzić czas aktywnie. Miałam wielkie oczekiwania od tego wyjazdu i wcale się nie zawiodłam. Wydaje mi się, że dostałam więcej niż chciałam. Nigdy nie zapomnę tej podróży. Zawsze będę ją wspominać jako spełnienie dziecięcych marzeń. Chciałabym jeszcze kiedyś wrócić do Egiptu nie tylko aby nurkować, ale również, aby zobaczyć inne zabytki tego cudownego państwa, m.in. Abu Simbel. Oczywiście pragnę zwiedzić jeszcze inne miejsca na świecie. Myślę, że warto marzyć o podróżach, a jeszcze cudowniej spełniać te marzenia.

*Patrycja Wieleba*

---

## Miasto nad Newą

**P**etersburg jest siedmiomilionową, prawdziwą „Wenecją Północy” o zróżnicowanych losach i dziejach. Miasto Piotra I, Katarzyny i Elżbiety, miasto Glinki, Borodina, Czajkowskiego, a nawet Johanna Straussa, miasto Lenina, dekabrystów i krążownika „Aurora”, który zresztą stoi tam nadal, ale też miasto studiów św. Rafała Kalinowskiego i św. Brata Alberta, Adama Chmielowskiego, pobytu Adama Mickiewicza i poniekąd Tadeusza Kościuszki, a także wielu innych wybitnych osobliwości. Jest wyjątkowym i niepowtarzalnym miastem na skalę światową. Leży przy ujściu Newy do Zatoki Fińskiej, a zostało założone przez cara Piotra I. Za dokładną datę jego początku uważa się 27.05.1703 r. Początkowo nosiło nazwę Piotrogród. Dzięki położeniu nad Bałtykiem miasto silnie się rozwijało gospodarczo, stając się dumą wielu carów, mieszcząc się na czterdziestu wyspach, poprzecinanych kanałami. Tym samym bardzo często nazywane jest Wenecją Północy jak również Palmirą Północy. Zachwyca rozmachem, szerokością ulic, pięknem budowli, licznymi kanałami, wzdłuż których domy dokładnie powtarzają skręty tych rzeczek i kanałów.

**Białe Noce.** Owszem, Petersburg jest piękny latem, gdy nocy tam prawie nie ma. Przy krótkich dniach można miasto oglądać w pełnej iluminacji, która w mroku stanowiła swoistą aureolę jego kraszy. Najlepszym czasem na zwiedzanie są białe noce, które trwają od 25 maja do 16 lipca. Samo zjawisko jest niesamowite, bo dzień trwa nawet po pierwszej w nocy. Noc też nie jest zbyt ciemna. Pozwala to na długie włóczęgi po mieście. I zdarza się zagubić w czasoprzestrzeni – nagle podczas wędrówki, okazuje się, że jest godz. 22 albo 23! A ciągle widno. Dużą atrakcją są też liczne podnoszone mosty, by umożliwić żeglugę statkom po Newie. To wszystko zapada w pamięci na całe życie.

**Newski Prospekt.** Prosty jak strzała Newski Prospekt wytyczony został jeszcze przez Piotra I. Trakt, mający być drogą wiodącą do Nowogrodu, z czasem stał się najbardziej okazałą tu ulicą, która na przełomie XIX i XX w. należała do najokazalszych bulwarów ówczesnej Europy. Newski Prospekt bierze swój początek obok Pałacu Admiralicji i ciągnie się przez 4,5 km aż do soboru Aleksandra Newskiego, od którego zresztą wzięła swą nazwę. Jednak to 2,5-kilometrowy odcinek Admiralicji do Dworca Moskiewskiego jest najokazalszym fragmentem miasta, stanowiącym jego ściśle centrum. Ulica dość szybko stała się prestiżowym miejscem, gdzie swoje domy budowali najbogatsi mieszkańcy. Pierwszym, który się tu osiedlił, był feldmarszałek Borys Szeremietiew. Z czasem przy Prospekcie ulokowały się instytucje finansowe i handlowe, a także świątynie katolickie, protestanckie, ormiańskie i prawosławne. Przez lata komunizmu główna arteria Petersburga była zaniedbana, teraz trwają prace nad przywróceniem jej dawnej świetności. To właśnie przy niej położone są najważniejsze atrakcje turystyczne. Już na początku traktu znajduje się Pl. Pałacowy z pałacem Zimowym i pozostałymi budynkami tworzącymi Ermitaż. Docierając do Kanału Gribojedowa po prawej stronie widać neoklasycystyczny Sobór Kazański – w czasie komunizmu Muzeum Ateizmu, któremu obecnie przywrócono pierwotną funkcję. Jeśli pójdziemy dalej wzdłuż Kanału Gribojedowa, dotrzemy do Muzeum Rosyjskiego i dobrze widocznego Soboru Zmartwychwstania Pańskiego – jednej z największych atrakcji miasta.

Nieco dalej w kierunku Dworca Moskiewskiego widzimy inny niezwykle charakterystyczny budynek – Gostinnyj Dwór. Powstał on w latach 1757-1785 i był jednym z pierwszych krytych pasaży handlowych na świecie, pełniąc swą funkcję do dziś. Pod nr. 56 znajdziemy jedne z najznakomitszych delikatesów Jelisiejewskij, które od początku XX w. raczyły swoich klientów niezwykle rzadkimi rarytasami. Jednak równie imponujący, jak luksusowy asortyment jest sam gmach, zbudowany z ogromnym przepychem, który urzeka każdego klienta. W czasach komunizmu można było tu nabyć towary deficytowe, ale stać na nie było tylko ludzi związanych z władzą. Ważnym miejscem na szlaku jest także pl. Ostrowskiego z pomnikiem Katarzyny II oraz Teatrem Puszkina, zwany wcześniej jako Aleksandryjski, należącym obok Teatru Maryjskiego do najważniejszych scen Petersburga.


**Sobór Kazański.** Główny jego masyw, który stał się pomnikiem zwycięstwa broni rosyjskiej w wojnie z napoleońską Francją, otwiera kolumnada nadająca budowli zadziwiająco lekkość i jednocześnie majestatyczność. Wnętrze również zdumiewa lekkością i monumentalną niewymuszenością. Dużo światła, lejącego się z okien bębna, zwiększa wrażenie przestworu. Monolitowe porfirowe kolumny z pięknie zarysowanymi kapitelami i podstawami nadają wnętrzu uroczystą wspaniałość. Najlepsi rzeźbiarze i malarze Rosji brali udział w udekorowaniu Soboru, przekształcając go w „świątynię rosyjskiej sztuki”. Pochowany jest tu feldmarszałek M. I. Kutuzow. Jego pomnik wraz z pomnikiem innego bohatera Wojny Ojczyźnianej 1812 r., M. B. Barklaja de Tolliego, ustawiono przed północną fasadą. Po rozmieszczeniu w soborze licznych wojennych trofeów nabrał on znaczenia budowli memoriałowej. W ciągu kilku dziesięcioleci znajdowało się tu Muzeum Religii i Ateizmu, dlatego zachowało się tu niewiele ikon i sprzętu cerkiewnego. W soborze przechowywana jest jedna ze świętości rosyjskiego prawosławia – Kazańska ikona Matki Boskiej. Była ona razem z Kutuzowem podczas jego pochówku i na polach walki, błogosławiła ona żołnierzy przed bitwą borodynską.

**Dalsze obiekty.** Innym, nie mniej istotnym symbolem miasta, jest znany krążownik „Aurora”, przede wszystkim symbol Rewolucji Październikowej, która zapoczątkowała epokę Związku Radzieckiego. Obecnie „Aurora” zakotwiczona jest przy nadbrzeżu Piotrogradzkim na Wielkiej Newie, blisko mostu Sampsonijewskiego. Muzeum na pokładzie krążownika ukazuje historię i uzbrojenie. Do kanonu zabytków dodać też trzeba pomnik „Miedzianego Jeźdźca”, przedstawiającego Piotra I galopującego na koniu, pod którego kopytami ginie wąż symbolizujący wrogów cara i Rosji. Monument ten na pl. Senackim to plastyczny symbol całej epoki w historii Rosji. W nim połączyły się żywiołowy pierwiastek i podporządkowująca wszystko wola cara – twórcy, reformatora i ustawodawcy. Pomnik stanowi kompozycyjne centrum, jego wyrazista sylwetka jest łatwo odczytywana z każdego punktu i pod każdym kątem. Z pomnikiem wiąże się legenda, że dopóki Miedziany Jeździec stoi w centrum Sankt Petersburga, to miasto nie zostanie zdobyte przez wrogie wojska. W czasie blokady Leningradu pomnika nie ewakuowano, lecz zamknięto w drewnianej osłonie i osypano ziemią. Nietknięty przetrwał oblężenie, a miasto się obroniło.

**Twierdza Pietropawłowska.** Położona jest na Wyspie Wasilijeskiej zwanej wcześniej Wyspą Zajęczą, co ma upamiętniać mały posążek kicającego zajęczka, znajdujący się tuż przed mostem wiodącym do fortu. Twierdza, robiąca duże wrażenie, założona w 1703 r. przez Piotra I, jest najstarszą budowlą w mieście. Była wznoszona przez dwadzieścia lat, a po śmierci cara stała się grobowcem cesarskim. Przez kolejne 200 lat (do 1917 r.) służyła jako kazamaty dla więźniów stanu. W jej murach znajduje się Brama Newska i Brama Piotrowska. W parku stoi dziwaczny, nowoczesno awangardowy pomnik siedzącego na krześle Piotra I - tysego, z głową nieproporcjonalnie małą w stosunku do reszty ciała. Ale to nie zraża turystów, stojących posłusznie w kolejce, żeby usiąść carowi na kolanach i pstryknąć sobie fotkę. Nieco dalej widać katedrę, w której znajdują się sarkofagi rosyjskich carów – również rodziny Mikołaja II, a całość wieńczy 122-metrowa iglica.

*Cdn.*

*Elżbieta Lisiecka*

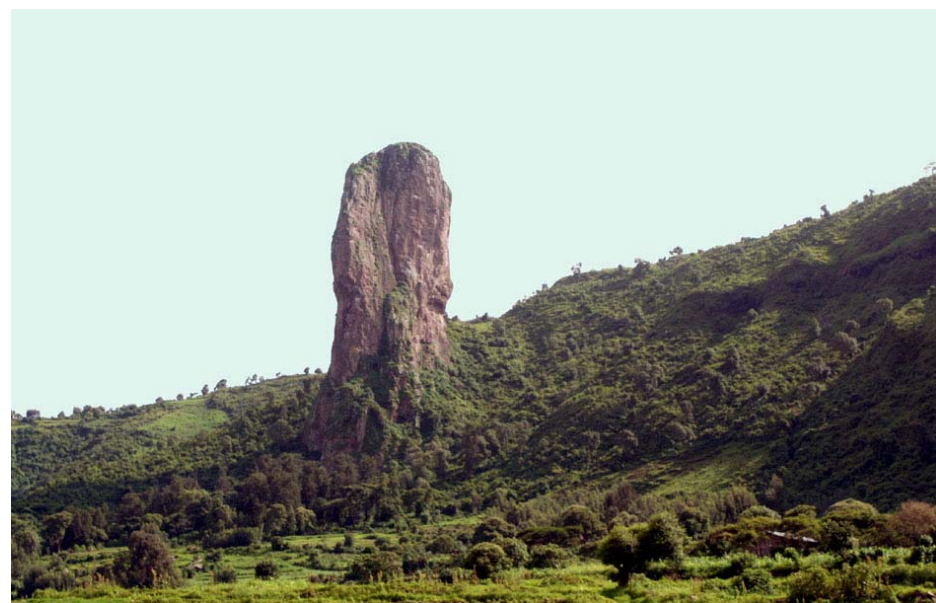


**Oferta wydawnictw  
turystyczno-krajoznawczych  
wydanych przez  
Oddział Wrocławski PTTK**

# Semien – dach Afryki

**P**rzeciętnemu Polakowi, nawet górolazowi, góry Czarnego Kontynentu kojarzą się tylko z Kilimandżaro i Atlasem, a co najwyżej jeszcze z Górami Smoczymi i Kamerunem. Mało kto wie, że najwyższa część tego kontynentu – nie pojedyncze szczyty, lecz jako rozległy region, znajduje się w Etiopii, kraju leżącego z reguły ponad 1500-2000 m n.p.m. i zajmującego sporą część „rogu Afryki”. Semien – w północno-zachodniej części tego biednego państwa, posiada tereny mocno powyżej 2500-3000 m, stąd śmiało góry te można nazywać dachem Afryki. Jego najwyższy szczyt – Ras Daszan, sięga 4624 m (to jedna z wartości, odnoszonej doń), lokując go na czwartym miejscu w tej części świata. Podobne kłopoty są z nazwą tytułowego pasma – poza podaną używa się jeszcze Semen, Simen, Simien i kolejnych wariantów, co wynika z trudności transkrypcji jej brzmienia w oficjalnym języku amharskim, używającym własnego, dość skomplikowanego, sylabicznego alfabetu.

Nie jest łatwo dotrzeć do tych gór, jako że sieć drogowa jest słabo rozwinięta, a większość ciągów ma charakter gruntowy, aczkolwiek od niedawna pokrywana nawierzchnią asfaltową. Do wypadowego miasta Debarq, oddalonego 12-14 km na południowachód od pasma, trzeba się porządnie wytrząść w terenowym samochodzie, by pojawić się u symbolicznej raczej rogatki na wjeździe do Parku Narodowego Semien. Obejmuje on najciekawsze partie gór i stąd rusza większość turystów. Poza budką przy szlabanie nic tu nie ma – poza strażnikiem z karabinem, który sprawdza opłatę za wstęp, obecność lokalnego, licencjonowanego przewodnika (można i bez) i strażnika z bronią (koniecznie), tzw. *scouta*. Ma on bronić w wypadku zagrożenia ze strony dzikich zwierząt, ale po cichu dodaje się, że niekiedy trafiają się tu niemili osobnicy. Potem jeszcze parę kilometrów dojazdu, bowiem gruntowa droga – jedyna zresztą i łącząca Debarq przez



**Adis Amen – Palec Boga**

przełęcz Buahit z Mekane Berhan, przecina niemal równoleżnikowo Semien, często po deszczach nieprzejezdna – choć niby tylko w jakimś miejscu. Sprawia to, iż samochód nie jest w stanie przejechać tędy, wtedy pasażerowie biorą się do roboty, popychając i ciągnąc przeważająco pojazd przez błoto i wodę w zastoiskach. W górach mieszka kilka tysięcy osób, a znaczna część dojeżdża do pracy z ich głębi ciężarówkami „osobowymi”. Chodzi się oczywiście i pieszo, turyści robią to jednak ścieżkami wydeptanymi w dużej mierze przez owce i inne zwierzęta. Można też korzystać z mułów, co ułatwia i przyspiesza wędrowki.



### Jeden z licznych jarów

Silniej urzeźbiona jest część północno-zachodnia, w dodatku odcięta od północy, ku Sudanowi Południowemu, potężnym urwiskiem dochodzącym do 1500 m wysokości i ciągnącym się na odcinku 35 km. W ogóle charakterystyczną cechą tych gór są niezbyt silnie sfałdowane wierzchowiny, poprzecinane labiryntem jarów, progów i płasko szczytowych wzniesień, zwanych ambami, a będących ostańcami. W porze letniej, gdy nadciąga tu monsun, częste są mgły, o deszczach nie wspominając. Strach wtedy chodzić blisko krawędzi, ponad której czasami w rozwiewanej mgłę widać daleko w dole jakieś chatki czy rzeczki. Niekiedy wędrowca natyka się jakby na kupę kamieni, utkanych na łące. Z bliska lub po chwili widać, że ruszają się one. To – dżelady, gatunek pawianów, jedyny trawożerny, wielka osobliwość Semieniu. Region ma oryginalne pochodzenie. Na starsze, prekambryjskie skały (ponad 470 mln lat) nałożyła się w górnej kredzie (sprzed 75 mln lat) rozległa kupa bazaltowa, prawdopodobnie długo aktywny wulkan tarczowy. Wylewy lawy trwały jeszcze w młodszym trzeciorzędzie, kończąc się „dopiero” 4-5 ml lat temu. Było to skutkiem rozpoczęcia pęknięcia wielkiej tarczy kontynentalnej, w wyniku czego „odpływa” na wschód Półwysep Somalijski, a na kontynencie ukształtowała się potężna, licząca 6600 km długości, rysa zwana Wielkim Rowem Wschodnim lub Wielkim Ryftem. Właśnie w nim i na jego obrzeżach doszło do wykształcenia się gór krawędziowych i zjawisk wulkanicznych. O ich skali świadczy śmiały kształt

Ras Daszan, który jest zbyt trudny do osiągnięcia, stąd przyciąga on coraz więcej osób. Warto wspomnieć, że w 2011 r. etiopscy przewodnicy określali Polaków jako najliczniejszą grupę turystów w swoim kraju. Masyw Semieniu od północy i wschodu wyodrębniony jest kolanem jaru rzeki Takkaze, na dopływach której rozwinęło się kilka większych wodospadów, osiągających nawet 500 m wysokości. Region przecina w poprzek, z północy na południe, dolina rzeki Mayshasha. Po jej wschodniej stronie rozpościera się wyższa część gór, ze szczytami ponad 3000, a nawet 4000 m.

Oryginalne widoki – najlepsze zimą, ale wtedy trzeba być przygotowanym na niskie temperatury mimo iż to Afryka, to nie jedyny walor Semieniu. Wykształciło się w nim i zachowało wiele gatunków endemicznych, tak roślin, jak i zwierząt.

Oprócz stosunkowo łatwych do obserwowania dżelad, konkurujących z gatunkami domowymi na ich pastwiskach, spotkać tu można choćby wilka etiopskiego, zwanego też czerwonym wilkiem albo czerwonym szakalem, złotego szakala, koziorożca abisyńskiego, leoparda i hienę. Trzeba mieć dużo szczęścia w odniesieniu do tych pierwszych, bowiem ich populacja jest już bardzo niewielka. Spośród sześćdziesięciu obserwowanych ptaków aż dwanaście zaliczono do etiopskich endemitów, jak jeden z gatunków ibisa czy drozda abisyńskiego.



### Wschodnia krawędź regionu

Coraz więcej bawi w tych górach, szczególnie w parku narodowym, obserwatorów ornitofauny. Także roślinność jest ciekawa, acz jej skład uzależnia piętro wysokościowe. W dużej mierze do 3000 m dominuje w nim jałowiec wschodnioafrykański, olejowiec afrykański i *Syzygium quineense*. Na wielu okazach zwieszają



**Stado dżelad**

się obficie rozmaite porosty, tworzące nieco niesamowity nastrój. Wyżej spotyka się dość częstą lobelię olbrzymią i wrzosa drzewiastego, urozmaicenie wnosi pierwiosnek żółty.

Atrakcyjność gór Semieniu skłoniła władze etiopskie do objęcia najcenniejszej ich części ochroną, ustanawiając na ich obszarze w 1969 r. park narodowy. Z kolei UNESCO wciągnęło go w 1978 r. na swoją Listę Miejsc Światowego Dziedzictwa, co jednak

nie powstrzymało dalszej destrukcji środowiska przez jego wylesianie i wzmożenie denudacji wskutek zakładania nowych pól. W związku z tym w 1996 r. UNESCO dodatkowo wniosło park na Listę Zagrożonych Miejsc Światowego Dziedzictwa. Teren ten był w latach 1983-1999 niedostępny dla turystów z uwagi na wojnę z blisko leżącą Erytreą. Dzięki jednak austriackiej pomocy finansowej i merytorycznej w ramach Integrated Development Project ukształtowała się zasadnicza infrastruktura turystyczna. Jest ona na razie skromna, wręcz bardzo skromna, obejmując kilka kempingów (baz namiotowych) i bazę Sankaber, gdzie na wysokości 3200 m postawiono murowany budynek noclegowy, toalety, prysznice i obiekty obsługi. Zwykle turyści dochodzą tu sami, a ich pojazd dojeżdża. Nie ma szlaków w europejskim rozumieniu – trzeba wędrować wydeptanymi ścieżkami lub wspomnianą wcześniej drogą, która zapewnia dotarcie jedynie do miejsc wypadowych w okolicy. O ile nie ma mgły, to trudno zabłądzić, zresztą zawsze jest ktoś z parku. Wśród kilku tras „dalekobieźnych” największą popularnością cieszy się wiodąca przez Ras Daszen. Z reguły start następuje z Debarq, a potem idzie się przez sześć dni, korzystając z obozów Sankaber, Geech i inne, przeważnie wzdłuż urwisk, czasami opuszczając się w przepaściste doliny w pobliże osad. Po osiągnięciu najwyższego w tej części Afryki szczytu trasa sprowadza w dół i w oparciu o inne obozy dochodzi do miejsc, gdzie czeka transport – przede wszystkim samochodowy. To jeden z jeszcze nierozdeptanych masywów górskich, ale narastający ruch turystyczny (w ciągu ostatnich kilkunastu lat wzrósł z kilkuset do 7000 osób rocznie) nakazuje mieć, że to jego ostatnie takie spokojne chwile. Trzeba je wykorzystać!

**Krzysztof R. Mazurski**



**Śniadanie w Sankaber**

## Skromnie, ale bogato

**C**o może oznaczać taki tytuł? Skromnie było, jeśli chodzi o frekwencję, bogato, gdy mówimy o turystycznych dokonaniach nielicznej ekipy, która zdecydowała się na przybycie do Radocyny na zachodnim obrzeżu Magurskiego Parku Narodowego mimo braku śniegu. Było nas tylko siedem osób, tyle samo co na poprzednim Spotkaniu w Beskidzie Niskim, w Jaśliskach. W tegorocznym wzięło udział 4/7 tamtego składu. Bazą był „Hotel Radocyna”, dawny hotel robotniczy pracowników leśnych, potem hotel prowadzony przez leśnictwo, dzisiaj prywatny obiekt turystyczny. Ma on bardzo przyzwoity standard schroniskowy, a turyści mogą wybierać od niewielkich trzyosobowych pokoi z łazienkami do ośmioosobowej sali noclegowej. Charakterystyczną cechą obiektu jest znakomita kuchnia.



Marsz przez Radocynę

### Część pierwsza – co było?

Trwające od czwartku 27. lutego do niedzieli 2. marca Spotkanie obfitowało w bardzo intensywną działalność turystyczną. Już w czwartek część ekipy jeszcze w drodze do Radocyny odwiedziła cmentarz wojskowy na Przeł. Małastowskiej i odbyła dwugodzinną pieszą wycieczkę ze Zdyni na Rotundę (771 m). Jest tam słynny cmentarz wojskowy nr 51. Inny uczestnik przewędrował kawał drogi z Krempej do bazy w Radocynie. Na wieczornym spotkaniu w jadalni-świetlicy sprawujący turystyczno-krajoznawczą opiekę Andrzej Stróżecki przedstawił propozycje tras wycieczek. Zgodnie stwierdziliśmy, że brak śniegu w niczym nie umniejsza naszych zamiarów. Po prostu buty narciarskie zamieniliśmy na turystyczne. Dzień następny okazał się rewelacyjny. Ponieważ dopisała pogoda, można było w pełni zrealizować zaplanowaną trasę. Okazała się nieco dłuższa niż wskazywały to teoretyczne obliczenia – wyszło 32 km, które pokonaliśmy w równe, co do minuty, 9 godz. Trasa wiodła doliną Wisłoki, potem jej dopływu o nazwie Zawoja (nie mylić z tą pod Babią Górą) przez wieś Wołowiec (cerkiew), Mareszkę (801 m), baczówkę w Bartnem do Banicy (pomnik załogi „Halifaxa”) i dalej drogą przez Krzywą (cerkiew), Jasionkę do Radocyny. Koło cerkwi w Wołowcu ekipa podzieliła się na „mareszkową” i „powrotną”. Pierwsza, jak sugeruje nazwa, ruszyła narciarskim szlakiem na Mareszkę, druga szlakiem pieszym przez Wołowiec do Banicy i stąd w kierunku Radocyny. Przejście dolinami potoków okazało się bardzo zajmujące i dłuższe o godzinę niż planowano z powodu kilkukrotnego szukania miejsc do przekraczania tych potoków. Razem chyba z osiem razy. Pokonywanie potoków okazało się niemałą atrakcją. Po kamieniach, pniach zwalonych drzew lub... bosy z butami w rękach. Znakomita widoczność pozwalała podziwiać długie i szerokie doliny zupełnie inne od tych spotykanych w innych częściach Beskidów. Wierzchołek Mareszki okazał się jedynym miejscem, gdzie zachowało się spore śnieżne pole. Wieczorem obejrzelismy filmową relację z Wędrówek Północy i narciarskich wypadów w Jurę.

Na następny dzień zaplanowano trasę krótszą, miała mieć około 20 km. Poszliśmy w górę dawnej wsi Radocyna oglądając kamienne krzyże, cmentarz wiejski i wojskowy, bobrowe tamy i rozlewiska. Kawałek za budynkiem dawnej szkoły odbiliśmy na południe w kierunku granicy, po czym zeszliśmy na stronę słowacką



**Przeprowa przez Wisłokę**



**Na Mareszce śnieg**

Z drugiej strony, brak nart ułatwiał przekraczanie potoków, wszak nie bywają zamrożone na całej szerokości. Krajoznawcza strona pobytu w Beskidzie Niskim trudna do przecenienia. Po prostu było warto poznać tę krainę. Na sobotniej naradzie wytypowano następujące lokalizacje XV Spotkania: w Sudetach – schronisko PTTK „Andrzejówka” lub „Zygmuntówka”, Bielice, Bolesławów, w Karpatach – Rytro PTTK, Łapsze Wyżne i... ponownie Radocyna. Jak widać, w kilku przypadkach nie ma wskazania na konkretny obiekt noclegowy. Jeśli zima będzie normalna, to każda lokalizacja wydaje się być odpowiednią. Ja mam już swój typ, zachęcam Czytelników do wskazania swojego wyboru spośród wymienionych miejsc. Można swoje typy wysyłać na mój adres ujęty w stopce NS oraz do Andrzeja Stróżeckiego [a-str@o2.pl](mailto:a-str@o2.pl). Do zobaczenia za rok!

*Juliusz Wysłouch*

koło Wysokego Vrchu (642 m) do Vyšnej Polianki (dwie cerkwie). Stąd drogą przez Varadkę (cerkiew) do Nižnej Polianki, dalej zaś nową drogą Bardejów – Jasło w kierunku granicy. Tam, na Przeł. Beskid nad Ożenną skrzyliśmy na niebieski szlak graniczny, którym poszliśmy ku zachodowi w kierunku Radocyny. Po drodze przystanek nad źródłami Wisłoki i dalszy marsz bez szlaku, a nawet ścieżki na Dębi Wierch (664 m). Dopiero z tego wierzchołka zaczęliśmy schodzić zrazu lasem, potem mało wyraźną drogą, a od granicy lasu łąkami do górnej części Radocyny. Po powrocie licznik wskazał 24 km. Pogoda dopisała, poza jednym 20-minutowym incydentem w postaci niewielkiego deszczu z zabłąkanej chmury.

Na tradycyjnym wieczornym spotkaniu długo rozważaliśmy, co dalej ze Spotkaniami Śladowymi. Co robić, skoro zebrano tak mało chętnych? Wybieraliśmy ewentualne lokalizacje przyszłorocznego XV Spotkania. Był także „wykład o zakładaniu fok”.

Wreszcie niedziela, czwarty i ostatni dzień Spotkania. Do południa wykorzystaliśmy piękną pogodę do dwugodzinnego wypadu na Dąb (676 m) przez Przeł. Długie. Poranny przymrozek zjawiskowo pobielił trawy, później słońce podniosło mgły i raczyliśmy się dalekimi widokami. Dwukrotnie spotkaliśmy chmarę jeleni (dwa byki i sześć łań), zbiegających z wierzchołka Dębu w dolinę i biegnących dalej na przeciwległe zbocza. Pożegnawszy się z gospodarzami schroniska, około godz. 11 wyruszyliśmy w powrotną podróż odwiedzając po drodze kilka cerkwi w mijanych miejscowościach.

### **Część druga – czy warto było?**

My wiemy, że było warto. Jechaliśmy ze świadomością, że śniegu nie ma i nastawieni na pieszą wędrówkę. Wystarczyło zadzwonić do Radocyny i zapytać o warunki terenowe. Zaplanowane trasy wycieczek przeszliśmy w całości z dokładnością do jednego metra. Nie było tylko, możliwych w skromnych nawet śnieżnych warunkach, długich bezpiecznych zjazdów po rozległych zboczach, jakich nigdzie indziej w polskich górach nie ma.

## Samotnie w góry

**C**o jakiś czas pojawiają się informacje o odnalezieniu przez turystów, taterników lub ratowników zwłok w górach. Ostatnie trzy (marcowe) doniesienia mówią o napotkaniu zwłok w pobliżu Myśleńskich Turni i pod Giewontem w Tatrach oraz Dolinie Kamienicy w Gorcach. Zwykle podobne przypadki bada policja, jeśli okoliczności śmierci budzą wątpliwości, w wielu przypadkach przyczyna wydaje się być ewidentna – upadek z wysokości w górach wysokich, zaś osłabienie i zamarznięcie w niższych to częste przyczyny takich nieszczęść.

Takie zdarzenia dotyczą turystów i wspinaczy wyruszających w góry samotnie. Stąd często takie tragiczne „znaleziska” odkrywane są przypadkiem po kilku dniach, tygodniach, miesiącach i latach. Ostatniego dnia marca natrafiono w Dolinie Kamienicy na szczątki turysty – narciarza, który zaginał... dziewięć lat temu. Wyruszył on na samotną narciarską wycieczkę w bardzo trudnych warunkach terenowych, przy pokrywie śnieżnej sięgającej miejscami dwóch, a nawet trzech metrów. Podobnych przypadków jest każdego roku kilka w naszych górach. Bywają też takie, że ginie wszelki śluch o kimś. Ktoś wyszedł w góry, nie wrócił i nikt nic nie wie. Uff, zacząłem strzaleć z dużej armaty, ale nie o straszenie tu chodzi.

Samotne czy, jak się często mówi, solowe wędrówki są dość popularne. Taka wyprawa ma swój urok. Turysta ma wtedy pełną swobodę działania, nie jest niczym skrupowany, nie musi uwzględniać obecności drugiej osoby lub kilku osób, gdy idzie się i przebywa cały czas w grupie. Inaczej się wtedy czuje i odbiera góry. Ponieważ ruch turystyczny nawet w tzw. sezonie, zwłaszcza w środku tygodnia, jest niewielki, często w ciągu dnia spotyka się jedną, dwie osoby, a nawet nie spotyka nikogo. To zależy, rzecz jasna, od tego, gdzie wędrujemy, w jakich górach. Pewnie się nie pomylę, jeśli wskażę Beskid Niski jako teren, gdzie turystów bywa najmniej. To bardzo rozległy obszar i choć szlaków sporo, to turystów mało. Ale nie tylko tam. W niektórych grupach górskich w Sudetach jest podobnie. Ruch turystyczny koncentruje się wokół znanych ośrodków, głównie w Karkonoszach i Górach Izerskich, także wokół Śnieżnika, zaś w grupach i masywach mniejszych i ze skromniejszą bazą turystyczną dominuje ruch weekendowy. Dlatego wędrując można przez kilka dni nie spotkać na szlaku nikogo. Także w najlepiej zagospodarowanych turystycznie Beskidzie Śląskim i Żywieckim występuje to zjawisko. Jego intensywność zależy tylko od pory roku.

Tę pustkę na górskich szlakach wypełniają w jakiejś mierze samotni turyści. Przeważnie są to turyści doświadczeni i dobrze wyposażeni, choć trafiają się także ignoranci. Ci jednak przeważnie mają dużo szczęścia. Pomijając tę sferę (szczęście) sprzyjającą takim wyprawom, do samotniczej wędrówki należy się odpowiednio przygotować i to nie tylko sprzętowo, ale przede wszystkim mentalnie. Trzeba nieco inaczej podejść do „zadania”, jakie nas w górach czeka. Są dwie szkoły. Jedni idą na żywioł, inni dokładnie planują wypad. Polecam jednak tę drugą metodę, która wcale nie odbiera romantyzmu i elementów przygody.



Samotnie w górach

Planowanie jest dziś związane z innymi niż jeszcze dziesięć, dwadzieścia lat temu warunkami przemieszczania się między grupami górskimi. Kiedy uprawiałem turystykę solową, mogłem liczyć na komunikację publiczną bardziej niż teraz. Sprzyjały wędrowce zwłaszcza liczne połączenia kolejowe pociągami osobowymi na linii Kraków – Zakopane, Sucha – Żywiec, jeszcze dawniej Chabówka – Nowy Sącz, Nowy Sącz – Krynica. Ileż to razy przerzucałem się z Beskidu Żywieckiego w Gorce albo w Tatry, z Gorców w Tatry, z Beskidu Wyspowego w Sądecki. Tydzień tu, tydzień tam. Powie ktoś, skoro przyjechałeś w góry, to trzeba było chodzić, a nie jeździć. No i tak robiłem, jednak mogłem łączyć wędrowkę po jednym paśmie z wypadem w inne. Wykorzystywałem np. chwilowe załamania pogody na przemieszczanie się w inne góry na zasadzie: leje na Krupowej – schodzę do Osielca i jadę do Rabki albo do Zakopanego. Dzień z marną pogodą nie był wtedy zmarnowany. Było to o tyle łatwe, że schodząc do jakiegokolwiek stacji mogłem liczyć na osobowy najdalej w ciągu godziny. Dzisiaj pociągów prawie nie ma i trzeba liczyć na „busiarzy”. Na szczęście, prywatni przewoźnicy docierają do wielu miejscowości, co daje jakieś możliwości komunikacyjne, nie ma jednak pewności, że coś przyjedzie w odpowiedniej porze, no i kiepsko to wygląda w soboty i niedziele. To tyle o „planowaniu przestrzennym” na wyprawie. Dodam tylko, że będąc solistą można sobie pozwolić nawet na większe trudy i niewygodny niż idąc w grupie, zatem konieczność czekania na jakiś pojazd czy szukania transportu jest tylko udziałem jednej osoby. Nikt nie będzie marudził i narzekał.

**Samotny turysta może liczyć wyłącznie na siebie** i na telefon komórkowy. Jak to było kiedyś, gdy komórek nie było? Ano zwyczajnie, turyści byli trochę rozważniejsi, bo świadomi, że w razie jakiegoś wypadku nie są w stanie nikogo o zdarzeniu powiadomić. Pozostało krzyczeć, nadawać sygnały światłem – możliwości niewiele. Do legendy przeszedł już przypadek nadawania sygnałów czerwonym stanikiem przez turystkę tkwiącą na Orlej Perci na skutek załamania pogody. Okazało się, że w biało-czarnym krajobrazie zimowych Tatr ów intymny przedmiot stanowiący jedyny kolorowy akcent został dostrzeżony i pomoc nadeszła. Niezależnie od telefonu, który daje możliwość powiadomienia o wypadku, wezwania pomocy i jakiegokolwiek innego kontaktu, należy działać rozważnie. Trasy wycieczek planować tak, aby gwarantowały dotarcie do noclegu. Ważna jest wiedza ogólna o terenie, w którym się poruszamy i przebieg szlaków. Warto przestudować (czytamy przewodniki!) nie tylko opis zaplanowanej trasy, ale także najbliższej okolicy, możliwości skrócenia odcinka, warianty awaryjne, najbliższe dojścia w doliny i do miejscowości. Trzeba się dopasować do trudności na szlaku biorąc pod uwagę swoje umiejętności i wiedząc, że w razie czego nikt nie pomoże. Należy zadbać o szczegóły wyposażenia takie choćby, jak latarka i zapasowe baterie. Bardzo dużo interwencji GOPR i TOPR to ściąganie ze szlaków turystów, którzy nie mieli światła. Mapa powinna być pod ręką, a nie głęboko w plecaku, latarka podobnie, jak i rękawiczki i ciepła czapka – nawet latem. Nie można zapominać o zabraniu osobistej apteczki, o rezerwie jedzenia i napoju. W grupie zawsze ktoś czymś poczęstuje, zawsze znajdzie się jakiś plaster i bandaż. Wybierając się solo w góry trzeba to wszystko mieć przy sobie – nawet podczas jednodniowego wypadu „na lekko”. W telefonie należy zapisać numery alarmowe GOPR i TOPR oraz do kilku schronisk w okolicy. Pamiętajmy jednak, że nie wszędzie jest zasięg telefonii komórkowej, więc liczenie na pomoc w każdej chwili i w każdym miejscu może się okazać złudne. Idąc samotnie bacznie pilnujemy szlaku, wszak nieraz turysta zamyśla się, łatwo się zagapić, minąć jakiś zwrot szlaku, jakiś zakręt, wejść na niewłaściwą ścieżkę na rozstajach. Bywają szlaki słabo oznakowane, nie zawsze znaki są odpowiednio umieszczone, czasem zatarte. Nie jest ujmą dla turysty, jeśli na samotną wędrowkę wybierze się w teren już sobie znany z wcześniejszych wypadów. Zapewniam, że mimo iż było się już w jakichś górach będąc uczestnikiem wędrowki w zespole, choćby nielicznym, to solo idzie się całkiem inaczej. Bardziej zwraca się uwagę na szczegóły, które kiedyś mijało się obojętnie, inaczej odbiera się szum wiatru, odgłosy z lasu, więcej się widzi i więcej zapamiętuje.

Czy jest możliwe, żeby w ciągu dnia nie spotkać w naszych górach nikogo? Oczywiście i to nie tylko zimą, kiedy ruch jest nieporównywalnie mniejszy. Wystarczy wybrać odpowiedni fragment gór. Należy jednak zawsze pamiętać, że samotna turystyka jest ciekawą i atrakcyjną formą wędrowki, ale niesie nieco większe ryzyko niepożądanych zdarzeń i wymaga od turysty lepszego przygotowania i większego doświadczenia niż w przypadku marszu w ekipie. Pomijam porę roku i dodatkowe trudności późną jesienią, zimą, na przedwiośnie. To są zagrożenia niezależne od tego, czy jest się w górach solo, czy w grupie, jednak ich skutki bywają poważniejsze dla samotnego turysty. Na koniec przypomnę podstawową zasadę w turystyce: zawsze zostawiamy komuś informację o celu wycieczki lub wielodniowej wędrowki. Warto przed wyjazdem sporządzić plan z podziałem na poszczególne dni. To zawsze zwiększa szanse udzielenia pomocy, odnalezienia w razie utraty orientacji, dotarcia do poszkodowanego turysty. Dobrze jest o tym nie zapominać.

*Juliusz Wystouch*

*Maski Świata (5)*

## Oblicza Buddy

**B**udda jako założyciel nurtu religijnego, obecnego w większej części Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej, jest w jej przestrzeni publicznej obecny prawie na każdym kroku. Na jego wizerunki w formie posągów, malowideł czy płaskorzeźb natknąć się można nie tylko w krajach, gdzie odsetek wyznawców tej religii jest największy, czyli Mongolii, Japonii i Chinach, ale również w Tajlandii, Wietnamie, Laosie, Birmie czy Indiach. Jednym z bardziej znanych jest też przedstawiająca go płaskorzeźba znajdująca się w górach Kumgang na terenie Korei Północnej, będąca pod ścisłą ochroną tamtejszych władz i to pomimo ideologicznego rozdźwięku pomiędzy obowiązującą ideologią dżucze



a jakimkolwiek innym światopoglądem. Niestety, nieco mniej szczęścia miały posągi z VI w. w Bamianie (środkowy Afganistan), które zostały celowo zniszczone przez tamtejszych talibów. Ci bowiem uznali, że godzi to w nader specyficznie pojmowany przez nich islam. Posągi te, pomimo prób ich rekonstrukcji, są już raczej bezpowrotnie stracone. Jego wizerunek, a nawet cała postura różni się w zależności od regionu, w którym jest przedstawiana. I tak, w Japonii Budda jest poważny i ascetyczny, zaś już w Chinach i częściowo na południu przybiera on postać uśmiechniętego i brzuchatego dobrodzieja, nierzadko w pozycji półleżącej. Widoczne jest to również w jego wizerunku twarzy, które powiększają moją kolekcję masek. Budda, którego maskę przywiozłem z Indii, jest dość poważna i jakby zamyślona, zaś ta z Laosu wręcz zachęca do osobistego kontaktu. A która jest skąd? Zgadnijcie sami...

*Sobiesław Mazurski*  
[www.mazurski.eu](http://www.mazurski.eu)

*My alpiniści kochamy życie tym mocniej,  
im bliżej jesteśmy chwili, kiedy możemy je utracić.  
Nikt nie idzie w góry, aby w nich zginąć.  
Ale jeśli wystawia się w górach życie na ryzyko,  
jest to tylko miarą wielkości pasji.*

Wanda Rutkiewicz

## Pani Maria – matka Wandy Rutkiewicz

**M**aria (z domu Pietkun) Błaszkiwicz urodziła się na Żmudzi na początku XX w. Tam studiowała historię starożytną, a po ukończeniu studiów pracowała w Centralnym Archiwum w Kownie. Wyszła za mąż za inżyniera sanitarnego Zbigniewa Błaszkiwicza, który pochodził z Łańcuta, i mieszkała z nim w Pługianach pod Kłajpedą, na Litwie. Tu urodziła syna Jureczka (1941) i córkę Wandę (1943). Po wojnie krótki czas rodzina zamieszkała u teścia w Łańcucie. Tu urodziła się córka Nina. W krótkim czasie cała rodzina przeniosła się do Wrocławia i zamieszkała w wałącym się domu przy ul. Dicksteina, w pobliżu Parku Szczytnickiego. Mąż znalazł zatrudnienie na miejscowej Politechnice. W Wielkanoc 1948 r. od wybuchu niewypału, którym bawili się chłopcy, podpalając go w ognisku, zginął Jureczek. Jak potem żartował kolejny syn pani Marii, w rok później, w zastępstwie zań urodził się Michał, zmarły w zeszłym roku. Wanda wychowywała się w nędzy, ojciec mało zarabiał. Ratowała rodzinę koza, która dawała mleko, a którą hodowali w piwnicy. Wanda kozę wypasała w Parku Szczytnickim. A bieda była tak duża, że Wanda, w chłodne jesienne dni, aż do grudnia, chodziła bez rajtuz. Na skutek nieporozumień ojciec wyprowadził się z domu. Młoda Wanda, już gdy miała cztery lata, chodziła na zakupy. Opiekowała się młodszym bratem. W wieku sześć i pół roku poszła do szkoły, od razu do II klasy. Potem zdała na Politechnikę, rozpoczynając studia w wieku 17 lat. Dodatkowo pracowała, zdobywając pieniądze na życie rodziny. Matka nie pracowała.

Pierwsze wspinaczki górskie Wanda odbyła w wieku 18 lat w Górach Sokolich, gdzie weszła bez asekuracji na ściankę Sukiennice, wysoką na 20 m o IV stopniu trudności. Wspinała się przez 30 lat. Dla swojej pasji życiowej zrezygnowała z macierzyństwa. Po skończeniu studiów w 1965 r. w wieku 21 lat, kochając się w wielu naukowcach, z dyplomem inżyniera elektronika podjęła pracę w Instytucie Automatyki Systemów Energetycznych we Wrocławiu. Czy można się dziwić, że młoda kobieta za pierwszą zarobioną pensję kupiła sobie najmodniejsze szpilki z metalowymi obcasami i paradowała w nich? Wanda wzięła kredyt w banku na remont mieszkania. Na wracającą do domu z pieniędzmi napadł nieznajomy mężczyzna, wyrwał torebkę z pieniędzmi i zaczął uciekać. Wanda dogoniła go i, grożąc mu zamordowaniem tymi szpilkami, wymogła oddanie torebki z pieniędzmi. Wspólnie z bratem Michałem, ciężko fizycznie pracując, wyremontowali dom rodzinny. W 1973 r. Wanda Rutkiewicz przeniosła się do Warszawy, gdzie przez dziewięć lat pracowała w Instytucie Maszyn Matematycznych.

W 1972 r. ojciec został zamordowany w swoim mieszkaniu w Łańcucie. Wiele tragedii rodzinnych wywarło piętno na charakterze Wandy. Wybrała samotność i góry, stała się chłodna, często z znajomymi rozmawiała o śmierci. Góry zabrały jej prawie czterdziestu przyjaciół i znajomych. Najboleśniej przeżyła śmierć Kurta Lyncekrugera – neurochirurga z Berlina. Kiedy po nieudanym małżeństwie w końcu zakochała się i snuła plany dalszego wspólnego życia – ukochany, drugi mąż, na jej oczach zginął, gdy w 1990 r. szli razem na Broad Peak (8047 m) w Karakorum. Kurt poślizgnął się na stromym lodzie. Wanda widziała, jak spada. Wtedy jedyny raz przerwała wyprawę, choć wcześniej zdarzały się w jej wyprawach wypadki śmiertelne.

Odkąd Wanda Rutkiewicz przeprowadziła się do swojego skromnego, dwupokojowego mieszkania w wieżowcu przy ul. Sobieskiego w Warszawie, przed każdą jej wyprawą w góry przyjeżdżała z Wrocławia matka, chcąc zawsze pożegnać córkę, pobłogosławić i opiekować się mieszkaniem córki w czasie jej nieobecności. Była ona dumna z osiągnięć alpinistycznych córki. Przecież została trzecią kobietą, która zdobyła Mt. Everest (1978), i pierwszą na szczycie K2 (1986). Między nimi minęło osiem lat. Dwa i pół roku z tego

chodziła o kulach, przeszła cztery skomplikowane operacje, bowiem w 1981 r. w górach Elbrusu złamała nogę. Żaden inny Polak nie dokonał takiego wyczynu i nie zdobył tych dwóch ośmiotysięczników. Wanda zapragnęła jako trzecia osoba na świecie zdobyć Koronę Himalajów. Trzecia, bo wcześniej zrobili to Reinhold Messner i Jerzy Kukuczka. Zostało jej osiem. Rozpoczęła od Kangczendzongi (8598 m). Zaczęła się spieszyć – dobiegała pięćdziesiątki. Wiosną 1992 r. Wanda Rutkiewicz wyruszyła tam. Pani Maria pożegnała ją słowami – *Uważaj*.

Wanda Rutkiewicz na swoją ostatnią, jak się później okazało, wyprawę wyruszyła przeziębiona, obolała i opuchnięta. Trudno przechodziła aklimatyzację. Zawróciła do wsi na wysokości 3300 m. Ale jeszcze bardziej spuchnięta po kilku dniach wróciła w góry. Bolały ją ręce,

nogi, gardło. Poszła w góry razem z Meksykaninem Carlosem Carsolio i Arkiem Gąsienicą-Józkowym, młodym alpinistą z Zakopanego. Wanda szła wolno. W połowie kwietnia 1992 r. pierwszy raz zaatakowali Kangczendzongę, lecz burza śnieżna przerwała atak. Zawrócili do bazy. Arek zatrzał się. Kilku uczestników wyprawy Meksykanów odwieziono do szpitala z silnymi odmrożeniami. Kolejny atak na szczyt przeprowadzili jedynie Wanda i Carlos. Jak ustalili, szli osobno. Carlos szedł szybko, Wanda wolno. Przygotowane wcześniej bazy w obozie III i IV zasypał śnieg. Spali w śnieżnych jamach. Na szczyt ruszyli z ostatniej bazy na wysokości 7900 m 12 maja o godz. 3:30. Wanda zachęciła Carlosa, by szedł swoim tempem. Carlos zdobył Kangczendzongę. Wracał ze szczytu o 20:00. Spotkał Wandę, rozmawiali, twierdził, że namawiał ją, by zawróciła. Odmówiła. Zdecydowała się na kolejne biwakowanie w śnieżnej jamie, nie mając ani śpiwora, ani namiotu, ani maszynki gazowej, ani jedzenia. Jej cel – być pierwsza kobietą na Kangczendzondze. Gdy Wanda nie wracała, Arek nie mógł udzielić jej pomocy. Najbliższa wioska nie miała łączności, a i helikopter na wysokość 8000 m by nie poleciał. Iść, wracać Arek nie miał sił – to byłoby czyste samobójstwo. W dniu 25 maja media podały wiadomość, że na północnej ścianie Kangczendzongi zginęła wybitna himalaistka.

Gdy córka nie pojawiała się, przez wiele lat jej matka nie chciała wracać do Wrocławia, do syna Michała, tylko czekała w Warszawie, wierząc, że córka żyje i wróci. Cały czas na warszawskim mieszkaniu widniała wizytówka: Rutkiewicz. Tam z przyjaciółkami córki świętowały lutego jej urodziny i 23 czerwca imieniny. Mówiła wtedy: *Wróci. Ja czuję więcej i wiem więcej. Moja wiedza jest darem niebios*. Nikt, kto powiedział, że Wanda Rutkiewicz nie żyje, nie miał prawa wstępu do mieszkania. Miała też ogromny żal do syna Michała, że wniósł sprawę do sądu o uznanie Wandy za zmarłą. Pani Maria, jak mogła, utrudniała i przedłużała proces sądowy. Zgłaszała nowe wątpliwości, pytała, czy córka, niespostrzeżona przez himalaistów, nie mogła zejść ze szczytu na drugą stronę gór. Pytała sąd, czy ktoś widział moment zginienia córki, czy ktokolwiek widział jej ciało? Wreszcie po trzech latach sąd uznał Wandę Rutkiewicz za zaginioną. Pani Maria jednak tego nie przyjęła do wiadomości wierząc, że córka żyje, że po siedmiu latach (wierzyła magiczną liczbę siedem) córka wróci 12 maja. Twierdziła i wierzyła w to, że córka zeszła do któregoś z klasztorów po drugiej stronie gór i tam ukrywa się przed światem, medytuje, ale wróci. Złożona chorobą wróciła do Michała i tu w 2013 r. dożyła swoich dni. Kilka miesięcy później na tamtą stronę życia przeszedł, zmęczony ciężką, nieuleczalną chorobą, która rozwinęła się błyskawicznie, także syn.

A Wanda...? Miała tyle jeszcze do zrobienia. Planowała napisać książkę o zdobyciu Everestu. Zrobiłaby jeszcze wiele innych rzeczy, gdyby przeżyła. Jednakże jedyną szansą na przeżycie alpinisty jest wycofanie się z gór w porę. Tak jak to zrobił Reinhold Messner, który jako jedyny z tego grona wiedział, jak to zrobić. Przerwał wspinaczkę górską, poświęcił się spokojnemu, rodzinnemu życiu. Wanda tak nie umiała, bo tam w górach było Jej prawdziwe życie. W wieku 49 lat zginęła, w tym momencie były przy Niej tylko góry...

*Stanisław Dziuba*



**Kamień pamiątkowy z tablicą przy II LO we Wrocławiu.  
Fot. Andrzej Rumiński**

## Ks. Krakowczyk odszedł ponad szczyty

**T**urbacz nie będzie już taki, jak przez ostatnie czterdzieści lat. Do Krainy Ponad Wierchami odszedł ks. Kazimierz Krakowczyk, który od 1978 r. „gazdował” pod Turbaczem, najpierw przy Kapliczce Partyzantów, potem w Kaplicy MB Królowej Gorców zwanej Papieską. Był kapłanem Grupy Podhalańskiej GOPR, odprawiał msze w kaplicy i w schronisku PTTK na Turbacz. Były to msze niezwykle. Któż z nas turystów bywających regularnie w Gorcach nie spotkał choćby raz ks. Krakowczyka, któż z nas nie zatrzymał się choć na chwilę przy Kaplicy Papieskiej, nie czytał zaproszeń na msze – informacji kreślonych ręką ks. Kazimierza, łatwo zauważalnych w hallu schroniska i na drzwiach świetlicy – sali kominkowej. Skromny,



**Ks. Krakowczyk w otoczeniu uczestników Śladowego Spotkania „Na Szlaku”**



**Ks. Krakowczyk przy kaplicy pod Turbaczem**

nie narzucający się nikomu, a przyciągający, choć być może dla niektórych kontrowersyjny w wypowiedziach – nieważne. Całe lata przemieszkiwał w swojej bacówce niedaleko kaplicy, zimą zaś w schronisku, zmagając się z ciężką wyniszczającą chorobą, a przecież zarażał każdego, kto go spotkał, wołą życia. Taki był. Pusto zrobiło się pod Turbaczem i na Turbacz. Nikt Go nie zastąpi: 22 marca spoczął na zawsze na zakopiańskim cmentarzu.

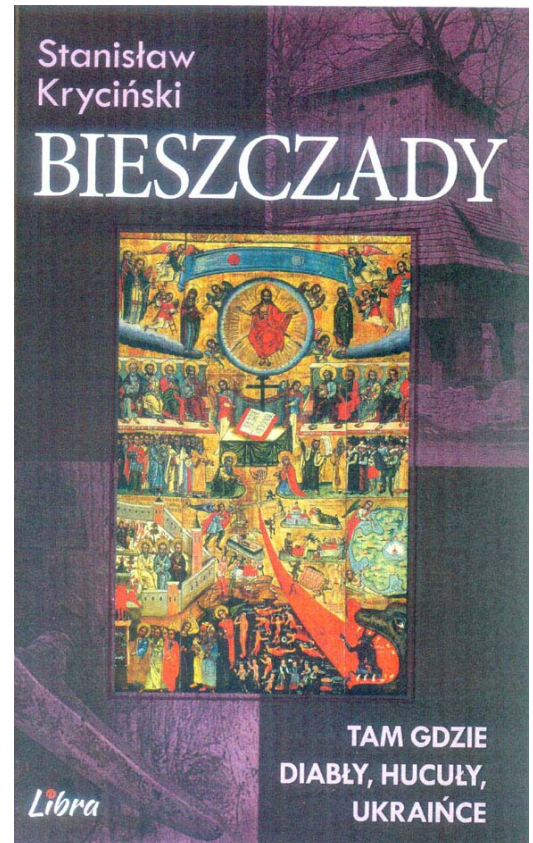
*J.W.*

## O Bieszczadach całkiem inaczej

**O** autorze tej książki wypada powiedzieć, że poznał znaczną część Bieszczadów jak niewielu przed nim, a na pewno jest wyjątkiem wśród autorów przewodników. Mało tego – jego książka nie jest kolejnym przewodnikiem po tych górach, zaś autor stosuje w życiu zasadę, że „od szczytów ważniejsze są doliny”. Z oczywistego powodu: bo w nich kiedyś tętniło – dziś coraz bardziej zapomniane – zwyczajne i niezwykle życie. I jeszcze jedno: podobnie jak taternicy czy nawet himalaiści uważa, że od zdobycia szczytu ważniejsza jest wiodąca tam droga. Autor „Bieszczadów...” ma tę krainę nie tylko w głowie, pamięci czy nawet... w sercu, co jest tym bardziej godne podziwu, że nie zapisuje tych gór na liczniku kilometrów ani na liście nazw osiągniętych szczytów i połonin. Niestety, prawie każda jego bieszczadzka wędrówka to było poszukiwanie. I na szczęście owocowała odkrywaniem coraz bardziej nikłych śladów po ludziach.

Książka składa się z opisów takich poszukiwań, odkrywania zapomnianych miejsc, domostw i świątyń, które składają się na – co może być zaskakujące, tysiącletnie, potwierdzone przez archeologów i genealogów losy tej krainy. A co jeszcze ważniejsze – jej dawno zapomnianych ludzi. Nie zaniebyszał okazji do poznawania starych dokumentów, wyrysowanych map i coraz rzadszych opowieści sędziwych mieszkańców tej krainy. To wszystko tłumaczy podtytuł tej książki: „tam gdzie Diabły, Hucuły, Ukraińce”. Już we Wstępie napisał: „Większość turystów przyjeżdża w Bieszczady latem, kiedy bujna roślinność zastania wszelkie pozostałości życia, które kwitło tu przez wieki. A że pozostałości te zwykle nie są okazałe, więc znaleźć je nie jest łatwo”. Wypada dodać, że on ich szukał wiele lat, znajdował, i – co najważniejsze – opisał tak, że niecierpliwie trzeba czekać – już to zapowiedział i pisze kolejne części „bieszczadzkiej opowieści z wczoraj i z prawieku”. „Bieszczady...” mają cztery rozdziały wypełnione opowieścią badacza „na gruncie” o fragmentach Bieszczadów i Pogórza Przemyskiego. Autor ma za sobą i „w sobie” odkrywcze wędrówki turystyczne po krainie Biesza w latach 70. i 80. poprzedniego stulecia. Ich obfite plony były zebrane w czasie wymyślonych przez niego obozów wędrownych „Nadsanie”. Wedle klasycznej, często lekceważonej metody inwentaryzacji krajoznawczej.

Rozdział I „Na obu brzegach Sanu” to odkrywanie dziejów i szczątkowych śladów po Dobrej Szlacheckiej, Uluczu, Witryłowie, Łodzinie Hłomczy i Mrzygłodzie. Rozdział „W głąb „worka” to „junacko-turystyczne” wyprawy „do worka”, czyli tam, dokąd 40 i 50 lat temu nie było wolno wędrować z plecakiem. Ta część to kronikarska dokumentacja prac uczestników obozów „Nadsanie” – ratowanie, a najczęściej wydobywanie z ziemi i ustawianie w 1990 r. pionowo kamiennych pozostałości cmentarzy w Siankach, Beniowej, Bukowcu. Czyli w okresie, kiedy niepodzielnie panował „brak pieniędzy” na ochronę zabytków, powszechna zapomnienie „staroci” porośniętych mchem i trawą, i lekceważące przyzwolenie na zatracenie resztek kultury materialnej ludności dawnych Bieszczadów. Część III „Gdzie Diabły, Hucuły, Ukraińce” odkrywa przed czytelnikami kulturową odrębność trzech wsi – Bystrego, Lipia i Michniowca, oddzielonych od sąsiednich niezbyt wyniosłym, ale jednak istotnym wododziałem Bałtyku i Morza Czarnego. Ta linia trwała przez wiele stuleci, uznawana była za granice różnych państw i wyznań religijnych. W wielu miejscach zapomnienie, a najczęściej niewiedza i głupota, to stan umysłów, które trwają nieoficjalnie i całkiem urzędowo, do dnia dzisiejszego. Ostatni rozdział przekonuje, że w Bieszczadach historia wielu okolic i miejsc, jak choćby Cisnej, Baligrodu czy Hoczewa, mają po 400, 500, a nawet 1000 lat historii. Zakładało je na pograniczu starych krain kilka



pokoleń rodzin drobnoszlacheckich, jak Fredrowie, i możnowładcy, jak Balowie. Mało kto dziś pamięta, że w Cisnej wytapiano żelazo z rudy darniowej. Aż przyszedł kataklizm lat 1939-1951, czyli wojny, przemarsze wojsk, bitwy, pożogi i zagłada ludzi i ich siedzib. Zwyciężała zadawniona nienawiść, wrogość od pokoleń.

Przysłowiowe „koło Fortuny” w Bieszczadach obraca się do dziś, często jak dawniej – bezmyślnie i bezlitośnie. Książka ma niezaprzeczalny walor dokumentu także dzięki 101 zdjęciom autora z lat 1984-1991. Cennych dlatego, że większości chałup, cerkwi, kapliczek kamiennych, cmentarzy już nikt nie znajdzie. Nie dlatego, że zapomniane leżą z dala od starych dróg, w gąszczu zarośli, lecz dlatego, że szczyły w mijającym czasie. Ilustracje uzupełniają dokładne mapki, z przebiegiem starych gościńców i posadami nieistniejących osiedli i całych wsi.

Autor tą książką przekonuje, że w Bieszczadach wiele „było, ale minęło”, a tacy odkrywcy dawności, jak on, wspomagają historię uprawianą żmudnie, naukowo, oficjalnie i w omszałych instytucjach, przez badaczy wzbogaconych piętrowymi tytułami.

Stanisław Kryciński: Bieszczady – tam gdzie Diabły, Hucuły, Ukraińce. Rzeszów: Wydawnictwo Libra PL 2014, 230 s.

*Tomasz Kowalik*

## Szlak Frontu Wschodniego I Wojny Światowej w Małopolsce

**W** woj. małopolskim wiedzie on do miejsc, które w latach 1914–1915 były areną kluczowych zmagania armii austro-węgierskiej i niemieckiej z armią rosyjską na froncie wschodnim Wielkiej Wojny. Nowy przewodnik turystyczny, mapa i mobilna aplikacja temu poświęcone zachęcają do historycznej podróży wzdłuż szlaku i poznania pamiątek sprzed wieku. W kieszonkowym przewodniku, wydanym w siedmiu językach, zaprezentowano obiekty na szlaku, a także sytuację polityczno-społeczną w regionie przed wybuchem Wielkiej Wojny oraz przebieg walk na froncie wschodnim. Tekst uzupełniają strony tematyczne poświęcone ważnym zagadnieniom związanym z tą wojną oraz informacje o atrakcjach turystycznych znajdujących się w sąsiedztwie. Kolorowa książeczka pełna jest współczesnych i archiwalnych fotografii, rysunków i ciekawostek.

Dotarcie do poszczególnych obiektów i muzeów na szlaku umożliwi nowoczesny przewodnik mobilny „Małopolska. Szlak Frontu Wschodniego I Wojny Światowej”, dostępny na urządzenia z systemem iOS i Android. Opisy zostały urozmaicone zdjęciami, w tym także archiwalnymi, całość uzupełniono ciekawymi artykułami na temat przedwojennej Małopolski, historii wybuchu Wielkiej Wojny, a także życia codziennego żołnierzy, lotnictwa, architektury cmentarnej oraz Legionów Józefa Piłsudskiego. Aplikacja działa w trybie offline, wykorzystuje mapy OpenStreetMap oraz GPS. Aplikację na bazie Treemap można bezpłatnie pobrać w sklepach [Appstore](#) i [Google Play](#).

Podróżując szlakiem zobaczymy forty Twierdzy Kraków, krakowskie Oleandry, z których wyruszyła I Kompania Kadrowa, muzea oraz liczne cmentarze wojenne zaprojektowane przez wybitnych ówczesnych artystów. Na trasie znalazły się również dawne obiekty wojskowe, np. koszary, siedziby sztabów walczących armii, szpitale wojskowe. W niektórych miejscach ocalały ślady okopów i innych umocnień polowych. Wędrowkę po szlaku rozpoczynamy w Krakowie, zwiedzając potężne forty twierdzy Kraków oraz Muzeum Lotnictwa Polskiego z zachowanymi autentycznymi samolotami bojowymi z lat I wojny światowej. Trasy szlaku prowadzą na pola bitewne na północ od Krakowa, związane z walkami na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej w listopadzie 1914 r., a następnie na południe, gdzie stoczone zostały bitwy pod Łapanowem i Limanową i dalej



ku terenom, na których na początku maja 1915 r. rozegrała się przełomowa, zwycięska dla Austro-Węgier i Niemiec bitwa pod Gorlicami. Wreszcie docieramy w malownicze pasma Beskidu Niskiego, także pełne wojennych pamiątek. Będąc w Tarnowie, zobaczymy budynki związane z czasami Wielkiej Wojny, takie jak koszary czy szpital garnizonowy.

Publikacje są współfinansowane przez Unię Europejską w ramach Małopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2007-2013. Aplikację zrealizowano przy wsparciu finansowym Województwa Małopolskiego w ramach konkursu ofert z turystyki pn. „Małopolska Gościńska”.

*Małopolska. Szlak Frontu Wschodniego I Wojny Światowej.* Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego, Departament Turystyki, Sportu i Promocji. Realizacja wydawnicza oraz produkcja przewodnika mobilnego – Amistad. Kraków 2013. Teksty: Krzysztof Bzowski, dr Krzysztof Mroczkowski. Konsultacje merytoryczne: dr hab. Michał Baczkowski, dr Krzysztof Mroczkowski, dr hab. Andrzej Olejko. Języki: polski, angielski, niemiecki, rosyjski, węgierski, czeski i słowacki.

*Amistad*

## Para buch...

**W** W przedstawianej pozycji prześlędzono zmiany, jakie zaszły od momentu wynalezienia maszyny parowej – kiedy stanowiła szczyt techniki, aż do dziś, gdy czasy świetności ma już za sobą. Książka przenosi czytelników do świata rewolucji przemysłowej, gdzie wynalazek wzbudzał skrajne emocje i był nazywany maszyną piekielną. Dziś pochylają się nad nią historycy i badacze. Książka zawiera opisy kilkudziesięciu polskich i europejskich parowozów, skansenów, parowozowni i muzeów kolei.

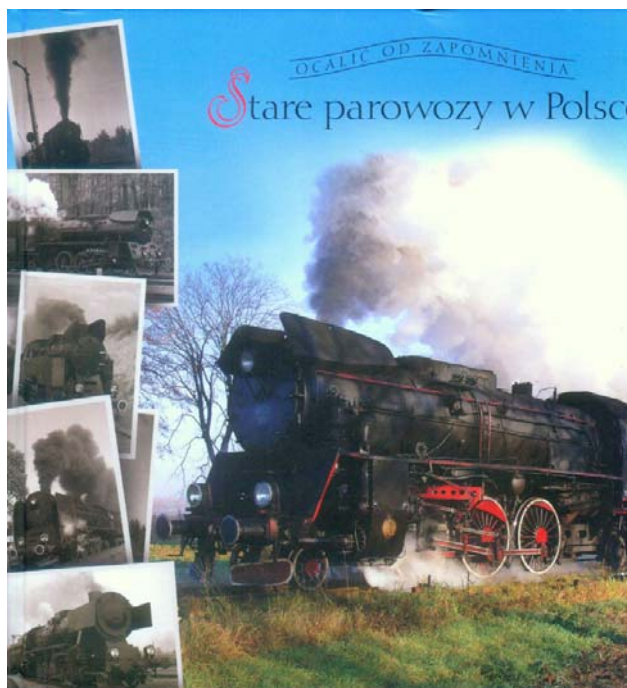
Historia kolei to nie tylko maszyny, a również i ludzie. Jednym z elementów książki są biografie znanych postaci, których działalność wpłynęła w istotny sposób na rozwój kolei, a więc na losy transportu w Polsce i Europie. Wśród nich znaleźli się m.in. ojciec maszyny parowej Thomas Newcomen czy naczelny inżynier budowy drogi żelaznej Warszawa – Wiedeń Stanisław Wysocki. Dzięki tej pozycji czytelnicy mogą zapoznać się także z jedyną w Europie parowozownią, w której do dziś o poranku rozbrzmiewa gwizdek zabytkowych maszyn – Parowozownią Wolsztyn. Codziennie wyruszają z niej osobowe pociągi w kierunku Poznania ciągnięte lokomotywą napędzaną siłą pary wodnej. W książce znajdziemy również historie innych parowozowni oraz informacje o muzeach i skansenach poświęconych pociągom, np. w Kościerzynie, Skierniewicach, Warszawie, Jaworzynie Śląskiej czy Gryficach.

Autor opisuje także kolejki wąskotorowe, które dawniej stanowiły ważny ośrodek lokalnego transportu w całej Polsce. Dziś przeżywają one swój renesans – ze względu na malownicze położenie tras stały się popularną atrakcją wakacyjnych wycieczek. Książka dzięki tym informacjom spełnia też funkcję praktycznego przewodnika dla wszystkich, którzy postanowią podróżować po Polsce śladami starych kolei. Jest to pozycja skierowana zarówno do osób, które od dawna interesują się pociągami i ich historią oraz do laików w tej dziedzinie. Dla tych drugich autor przygotował specjalny słowniczek terminów specjalistycznych. Zamieszczono archiwalne i współczesne zdjęcia, zabytkowe schematy konstrukcji maszyn i grafiki, dzięki którym doskonale oddają one ducha czasu triumfów kolei żelaznych.

Jest to kolejna książka w popularnej serii „Ocalić od zapomnienia” wydawnictwa Muza SA. Do tej pory ukazały się w niej takie pozycje, jak „Ginące zawody w Polsce”, „Tradycje polskiego stołu”, „Polskie stroje ludowe” czy „Lampy naftowe”. Jej głównym celem jest ochrona i dokumentacja dziedzictwa polskiej kultury oraz popularyzacja wiedzy o jej zanikających elementach.

Dariusz Jędrzejewski: *Stare parowozy w Polsce.* Warszawa: Sport i Turystyka MUZA SA (2013), 271 s. + 5 nlb.

*Muza SA*



## Glosa do Lubania

**Z**najduję w tekście informacje o gorczańskim szczycie Lubań i jego otoczeniu takie, które wymagają choćby kilku słów. Znam tę górę i jej otoczenie od co najmniej 35 lat i pomagając sobie przewodnikiem Józefa Nyki dodam tylko, że wznosi się ta góra tylko na 1211 lub 1212 m, a nie, jak czytam 2011 czy nawet 2015 m [Przegapiliśmy, to nie żart primaaprilisowy. Przepraszamy – red.]. A dodatkowo Krajoznawca zaleca rowerzystom górskim OSTROŻNE zjeżdżanie do Krościenka (turystycznym szlakiem czerwonym dla pieszych przez wzniesienie Marszałek 828 m). Szczęśliwie dla innych, nie zaleca takiej ostrożności w zjeżdżaniu zielonym szlakiem do osiedla Rzeki w Tylmanowej.

Schronisko Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy powstawało kilka lat, co najmniej od 1935, a oficjalne otwarcie nastąpiło w maju 1939 r., a zniszczenie przez oddział armii niemieckiej w listopadzie 1944 r., w akcie odwetu za aktywność polskich i radzieckich partyzantów w Gorcach – nawiasem mówiąc: Józef Nyka był jednym z nich... To schronisko na Lubaniu nominalnie powstało dzięki TTN, ale do ukończenia budowy przyłożyła się potężna Liga Popierania Turystyki i Polski Związek Narciarski, z osławionym wicemin. Al. Bobkowskim na czele. W trwałej ruinie podziemia dawnego schroniska prowadzący bazę namiotową OM PTTK urządzili zimowy magazyn ciężkiego sprzętu do jej użytkowania, żeby zaoszczędzić na kosztach dwukrotnego w roku (koniec czerwca – koniec sierpnia) transportu z i do Grywałdu i za odpłatne przechowanie kłopotów w stodole.

Wzmianka o bazie studenckiej namiotowej „na samorodach” wymaga rzetelnej informacji, że zaistniała ponad 35 lat temu dzięki entuzjastom turystyki studenckiej z Łodzi, a ostatnie lata nieźle prosperuje dzięki Oddziałowi Międzyuczelnianemu PTTK z Krakowa i Nadleśnictwu Krościenko. Osobny temat to nieprzerwane jej prowadzenie przez Leszka i Jolantę Ogórków z Krakowa, robili to bodajże przez 26 lat !!!!

Na głównym wierzchołku Lubania była wieża triangulacyjna, ale się rozpadła, a nowoczesna technika pomiarów od wielu już nie wymaga stosowania takich urządzeń. Pod Lubaniem jest ogromna baza noclegowa, wypada dodać zarówno w Dolnej jak i Górnej Ochotnicy, a także w Tylmanowej, o czym Pan Krajoznawca z Pomorza nie raczył wspomnieć. Szlak zielony na Lubań prowadzi od Jaworzynki w Beskidzie Sądeckim, most na Dunajcu i z osiedla Rzeki (Rzeki) w Ochotnicy Dolnej przez Basztę (sanktuarium drogi krzyżowej zbudowali mieszkańcy Tylmanowej), dalej przez Makowicę, Czerteż i Pasterski Wierch.

Na Przełęczy Snózka – jak napisał Krajoznawca – „stoi pomnik Hasiora”. Niestety, zapomniiał dodać, że został ordynarnie okastrowany – dzięki politycznej aktywności posłanki Anny Paluch z Krościenka, i pewnego typowego cepra z Łodzi, podharcemistrza zresztą, – z ordynarnym pogwałceniem praw autorskich znakomitego rzeźbiarza i elementarnego szacunku dla dzieł sztuki i pamiątek z przeszłości. Sam Hasior swego czasu chciał wprowadzić zmiany w kształcie pomnika, ale WŁADZA mu nie pozwoliła. Opodal, jakieś 200-300 m od pomnika, jest stary kamieniołom, z którego wydobywano szary kamień, szary andezyt porfirowy posłużył do zbudowania elewacji ze wspinałymi płaskorzeźbami Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie (róg Nowego Świata i Al. Jerozolimskich). Przez ten stary kamieniołom – wyrobisko – dawniej świetne miejsce startu dla paralotniarzy, od około dwóch lat jest poprowadzona ścieżka dydaktyczna, swoisty szlak turystyczny – a mam poważne wątpliwości, czy Szanowny Krajoznawca już przez niego przeszedł wraz ze swoimi nieodłącznymi towarzyszami – natomiast pomijając go pozbawił ich wspinałego przeżycia „w skale” prawdziwej 40-minutowej przygody krajoznawczej. Zatem zachęcam, gdyż Snózka i kamieniołom z trasą niemalże wspinaczkową to jednak atrakcja i kawałek MASYWU LUBANIA.

I jeszcze kilka słów o zasłużonym przewodniku sudeckim, Tadeuszu Steciu – istotnie miał zalety, ale nie każda wymaga komentarzy w tonacji „tego to mu nie wolno”, więc uznawana jest potocznie za przypadłość i uznawana za grzech. Jak ktoś szuka sensacji, powinien zajrzeć do dzienników Jarosława Iwaszkiewicza, tam się naczyta pikantnych szczegółów.

*Tomasz Kowalik*



## Tatry w płatkach śniegu

Redaktorowi Zbigniewowi Ładyginowi

przy wietrze o prędkości zero  
drzewa mileżą  
migotają sukniami  
w chybottliwych płatkach śniegu  
to na dziś wystarczy

droga prowadzi w mleczną biel  
ale wiadomo że jesteście  
wiadomo że potężniejecie  
wiadomo że groźniejecie

uczucia niespiesznie tkają srebrną szatę  
okrywając puchem konary  
okrywając igły  
przesłaniając niebo

tak smakuje kształt bez dźwięku  
tak smakuje obecność bez stów  
tak smakuje milczenie

*Kuźnice, 12-13 marca 2009*

## Kocioł Czarnego Stawu Gąsienicowego

Jerzemu Tawłowiczowi

kiedy tam wchodzę  
ustaje wszelkie myślenie  
oczy zgarniają przełęcz nie pewności  
szorstki granit wchłania wieloznaczność słów  
śnieżne żleby nadają tor Lawinom pragnień  
szczeliny zwątpień wnikają między glazy

kiedy tam wchodzę  
ustaje wszelkie myślenie  
ale przestrzeń czucia  
wypełnia się po brzegi

*23-25 listopada 2011*

*Joanna Pociask-Karteczka*

Czarny Staw Gąsienicowy. Fot. Piotr Dacko

### \*NA SZLAKU\* - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.  
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki"  
przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:  
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**  
Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**  
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**  
Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**  
Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca  
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów,  
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

**Przedruki tylko za podaniem źródła.**

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu  
i reklam wewnątrz numerów  
na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931